



*Barbara McCauley*



*Podróż ku miłości*

---

tytuł oryginału The Blackhawk Bride



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Clair, na miłość boską! Jak Evelyn ma sobie z tym poradzić, kiedy ty się wciąż wierzysz? - Josephine Dupre-Beauchamp spojrzała na swego złotego rolexa, westchnęła i znów przeniosła wzrok na córkę. - Wyprostuj się, skarbie, i podnieś brodę. Ślub już za trzy dni, a suknia musi być bez zarzutu.

Josephine, z jej szczupłą figurą i dobrze zachowaną urodą, sama wydawała się bez zarzutu. Niektórzy mówili, że wygląda jak własna córka, choć Clair była o trzy cale wyższa i miała oczy nie piwne, jak ona, lecz błękitne. „Ja dziedziczę po swych francuskich przodkach”, podkreślała Josephine, ilekroć pytano ją o tę uderzającą różnicę.

Clair wciągnęła teraz brzuch i wypięła pierś, nie ba-na roje szpilek, którymi sfastrygowano jej strój.

A więc za trzy dni, pomyślała. Trzy dni, a dokładnie to spojrzała na zegar ścienny, wiszący w obszernej przymierzalni ekskluzywnego magazynu ze strojami ślubnymi - dokładnie siedemdziesiąt osiem godzin, czterdzieści dwie minuty i... trzydzieści siedem sekund.

Zerknęła do lustra. Z trzech lśniących tafli przed nią patrzyły trzy identyczne młode kobiety, odziane w białą satynę i włoskie koronki. Dziwne jest to, zastanowiła się że z żadnym z tych odbić nie miała ochoty się utożsamić.

- Zeszczuplała. - Evelyn Goodmyer, wzięta stylistka, spięła zakładkę pod ramieniem Clair i pokręciła głową. - Kiedy ją mierzyłam poprzednio, miała biust 85B. A teraz...

- Słuchajcie, słuchajcie! - Victoria Hollingsworth wtargnęła do przymierzami, powiewając gazetą. - Chyba tego jeszcze nie czytałyście, co? - Zatrzymała się, zaskoczona przez trzy odbicia Clair, plus własne, w trójdzielnym lustrze. Odruchowo poprawiła rudawy kosmyk, opadający jej na czoło.

- Vickie... - Josephine zmarszczyła brwi i skrzyżowała ramiona na piersi.

Victoria oderwała wzrok od lustra, zrobiła dwa kroki naprzód i otworzyła gazetę tuż przed nosem Josephine.

- Dzisiejszy „Charleston Times” - wyjaśniła. - Dział towarzyski. Środek kolumny.

Victoria nie tylko była przyjaciółką Josephine z akademika, gdy obie studiowały w Vassar University; była także matką chrzestną Clair. I więcej (serce Clair podskoczyło, gdy o tym pomyślała): za siedemdziesiąt osiem godzin, trzydzieści dziewięć minut i... dwadzieścia sześć sekund miała stać się jej teściową.

Clair wyciągnęła szyję, aby coś dojrzeć w gazecie, nie udało jej się jednak zobaczyć nic poza reklamą na ostatniej stronie, przedstawiającą porcelanowego byka z jakiejś oferty pamiątkarskiej.

Victoria cofnęła dziennik i sama zaczęła go cytować:

- „Oliver Hollingsworth i jego narzeczona Clair Beauchamp, sfotografowani tutaj w zeszłym tygodniu, podczas balu dobroczynnego na rzecz Oddziału Pediatrycznego Szpitala St. Evastine, biorą ślub w sobotę w katedrze Chilton”.

Josephine straciła wyimaginowany pyłek ze swego beżowego Inianego zakietu.

- I to wszystko?

- Joe, nie bądź niemądra. Jasne, że nie wszystko. - Victoria odchrząknęła. - Zobaczcie, co jest dalej. „Panna Beauchamp, lat dwadzieścia pięć, ukończyła Radcliffe University, wyróżniona Summa cum laude -najwyższą pochwałą. Jest ona córką potentata żeglugowego Charlesa Beauchampa III i Josephine Dupre-Beauchamp, od dawna zamieszkujących Rolling Estates w Hillgrove. Oliver, lat dwadzieścia sześć, syn Nevina i Victorii Hollingsworth, także rezydentów Rolling Estates, obronił niedawno magisterium w dziedzinie zarządzania na Harvardzie, gdzie był członkiem elitarnego stowarzyszenia Phi Beta Kappa\*. Obecnie pełni funkcję dyrektora finansowego w Towarzystwie Kredytowym Hollingsworth i Wspólnicy, z siedzibą w Blossomville”.

*\* Phi Beta Kappa - najstarsze z uniwersyteckich stowarzyszeń w Ameryce, skupiające studentów osiągających najwyższe oceny w nauce. Odznaką członka stowarzyszenia jest złoty zegarek (przyp. tłum.)*

Spojrzenie Victorii zasnuła mgiełka. Jej głos zaczął drżeć:

-Mój mały chłopiec nie jest już mały, tak, tak... No a Clair nasza dobra Clair...?

Victoria i Josephine przyjrzały się Clair i obu powilgotniały oczy. Zaczęły wzdychać.

Dosyć! - miała ochotę krzyknąć Clair. Dosyć, dosyć, dosyć!

Kiedy Evelyn, manipulująca szpilkami, ukłuła ją niechcący, oczy same zaczęły jej łzawić.

- Wstydziałabyś się, Vickie - powiedziała Josephine. - Patrz, przez ciebie już i nasza dziewczyna płacze... Ale, ale - dodała, spojrzawszy

jeszcze raz na swego rolexa. - Jeśli dalej będziemy się tak grzebać, nie zdążymy na lunch w „Season's”. Miałyśmy tam być o wpół do dwunastej.

- To jeszcze musi potrwać - odezwała się Evelyn Goodmyer, nie przerywając fastrygowania. - A przypomnę paniom, że jest też kolekcja pantofli do przymierzenia. Clair dołączy do was potem... Przed wpół do dwunastej z całą pewnością nie skończymy.

Josephine spojrzała na Victorię.

- No dobrze - zgodziła się. Po czym zbliżyła się do córki i pocałowała ją w policzek. - Odeślę tutaj Thomasa, żeby cię do nas przywiózł - powiedziała.

Gdy Evelyn odprowadzała Josephine i Victorię przez sklep do wyjścia, Clair spojrzała na swe odbicie w lustrze.

Miała nadal łzy w oczach, tym razem jednak nie z powodu ostrych szpilek. Rzuciła okiem na zegar: zostało tylko siedemdziesiąt osiem godzin, dwadzieścia dziewięć minut i dwanaście sekund...

Jacob Carver był w bardzo złym nastroju. Niewykluczone, że to z powodu strasznego gorąca w samochodzie, zaparkowanym po bezdrzewnej stronie ulicy. Albo dlatego, że prowadził nieprzerwanie całą dobę, bo jechał tutaj aż z New Jersey. Lub jeszcze z tej przyczyny, iż od dwóch godzin sterczał naprzeciw tego magazynu mód dla nowożeńców, pociągając się na próżno, gdyż panna Clair Beauchamp weszła tam i przepadła.

Czyżby się wymknęła tylnym wyjściem?

Jacob sięgnął po butlę wody mineralnej, którą trzymał w lodówce turystycznej. Pociągnął kilka łyków i zakręcił butelkę.

Do licha, matka tej dziewczyny i jakaś inna kobieta już dwadzieścia minut temu opuściły sklep. A córki nie widać. Instrukcja Lucasa Blackhawka była ścisła: nie zbliżać się do dziewczyny, póki nie będzie sama. No więc teraz jest już chyba sama - tylko że jej nie ma...

Prywatny detektyw Jacob Carver sięgnął znów po butelkę z wodą. Co robić? - zastanawiał się. Wejść tam teraz? E, poczekajmy jeszcze parę minut...

Jego specjalnością było poszukiwanie osób zaginionych. Oznaczało to, że właściwie był bez przerwy w drodze, przemierzając Stany ze wschodu na zachód i z północy na południe. Więcej czasu spędzał w samochodzie niż w swoim domu i biurze w New Jersey.

A samochód miał niezły, chociaż bez klimatyzacji. Charger 426 Hemi. Cacko to osiągało na prostej drodze w dziesięć sekund prędkość stu pięćdziesięciu mil na godzinę.

Kto wie, czy nie pobije tego rekordu, gdy obecna robota zostanie skończona... Jacob miał ochotę skoczyć na Florydę i poleżeć trochę na plaży w Miami, może znowu blisko tej knajpki, gdzie w zeszłym roku poznał... jakże się ona nazywała? Sandy. Tak, Sandy... Kelnerka, przystępna, wesoła i akurat rozwiedziona. Jacob uśmiechnął się do swych wspomnień.

Kątem oka dostrzegł nagle, że z magazynu dla nowożeńców ktoś wychodzi. Zmobilizował się, od razu gotów do działania. Tak, to nareszcie ona! W jednej ręce miała torbę na zakupy, a w drugiej małą, kopertową saszetkę. Słońce błysnęło w załamaniach jej bladobłękitnego kostiumu z jedwabiu, a potem zaślnięło jeszcze tonem czerwieni w czarnych włosach

do ramion. Obserwował, jak zsuwa z czoła ciemne okulary, zatrzymuje się na brzegu chodnika i spogląda w kierunku nadjeżdżających samochodów.

Do licha, piękna, pomyślał. Wysoka, jak na kobietę, pewnie jakieś metr siedemdziesiąt trzy, przy tym szczupła, długonoga, delikatnej budowy. Twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi i z subtelnie wygiętymi brwiami.

A jej usta, dobry Boże... Pełne, zmysłowe, z lekko uniesionymi ku górze kącikami.

Jacob westchnął. Nic z tego, chłopie, pomyślał, to nie jest panna do wzięcia, to jest twój obiekt, przedmiot pracy.

Wyciągnął kluczyki ze stacyjki. Pora ruszać do akcji. Wysiadł z samochodu.

Trochę ukosem, bynajmniej nie w stronę Clair, zaczął przecinać jezdnię. Był już w połowie, gdy piękny „obekt” ruszył nagle w przeciwnym kierunku, skręcił i zniknął za rogiem.

Czyżby go zauważyła? Ale skąd by miała wiedzieć, że... Nie, nie, to nie to. Ruszył biegiem do narożnika. Wychynał zza niego - nic. Jakby się zapadła pod ziemię.

Stał przez chwilę zdezorientowany.

A może weszła do kolejnego sklepu? Już był gotów przekroczyć próg eleganckiego magazynu „Wyrobów jubilerskich Maimana”, gdy wtem poczuł zapach fast foodu. Rozejrzał się: kilka kroków dalej zaczynał się pasaż i właśnie ktoś go opuszczał z hot dogiem w garści.

Jacob postanowił spróbować tego tropu. Zagłębił się w pasaż, gdzie kilka lokali zachęcało do skorzystania z ich usług ozdobnie opracowanymi jadłospisami, jazgoczącą muzyką i stolikami wystawionymi na chodnik.



Mam cię.

Odbierała właśnie ociekającego keczupem i musztardą hot doga z rąk ciemnoskórego sprzedawcy. Zapłaciła i zamierzała prawdopodobnie przystąpić do jedzenia, gdy zaszedł ją od tyłu.

- Clair Beauchamp?

Drgnęła i, nie odwracając się, wrzuciła swą zdobycz do kubła na odpadki. Zaintrygowany patrzył, jak dopiero po tej czynności powoli obraca się ku niemu.

- Tak, słucham?

O, do licha, Jacob znów jęknął w myślach. Może być ona „obiektem” i „przedmiotem” jego pracy, a jednak puls gwałtownie przyspiesza, gdy się jest blisko takiej kobiety.

- Panno Beauchamp... - zaczął, i zaraz przerwał. Odruch detektywa kazał mu zajrzeć do kubła na śmieci, który przed chwilą pochłoniął hot doga. - Właściwie dlaczego pani to zrobiła?

- Co?

Wzruszył ramionami.

- Wrzuciła pani do kubła dobrego hot doga.

- Ja? Zdawało się panu. - Zsunęła ciemne okulary na nos. - A w ogóle, czy my się znamy?

Nieźle, pomyślał Jacob. Nie traci pewności siebie. Zresztą, do diabła z tym hot dogiem. Przejdźmy do rzeczy.

- Nazywam się Jacob Carver. - Wyciągnął swój identyfikator prywatnego detektywa. - Wynajęło mnie biuro prawne z Wolf River w Teksasie, abym się z panią skontaktował.

Nachyliła się, sprawdzając dokument. Zdjęła okulary.



- Po co?

- Czy moglibyśmy usiąść? - Ruchem głowy wskazał wolny stolik kilka kroków dalej.

- Obawiam się, że nie, panie Carver. Już teraz jestem spóźniona na lunch. - Płynnym ruchem otworzyła torebkę i wyjęła z niej wizytówkę. - Jeśli zadzwoni pan pod podany tu numer, sekretariat mojej matki umówi pana ze mną. A teraz bardzo przepraszam...

- Panno Beauchamp. - Przybliżył się, uniemożliwiając jej odwrót. - Mój zleceniodawca nalegał, abym porozmawiał z panią bez świadków.

- A ja nalegam, żeby mnie pan puścił.

- Zajmę pani tylko pięć minut. - Uśmiechnął się i rozkrzyżował ramiona. - Z mojej strony nic pani nie grozi, niech się pani nie boi.

- Ja się nie boję - odrzekła lodowato. - Nie mam tylko czasu.

Jednak poczuła obawę. Stał naprzeciw niej rosły mężczyzna, długowłosa i niedogolony, wyglądał trochę jak rozbójnik, trochę jak amant z filmów akcji. Był w granatowej koszulce i spłowiałych, błękitnych dżinsach.

Spróbowała sforsować przeszkodę.

- Naprawdę nie mam czasu... Nie ustępował.

- Czy słyszała pani kiedykolwiek nazwisko Blackhawk?

- Nie. I byłabym wdzięczna...

- Rand i Seth Blackhawk?

Zawahała się. Jakieś dalekie wspomnienie, może ból, owładnęły ją na moment... Rand... Seth... Pokręciła jednak głową.

- Nie, nie wiem, kim oni są. A powinnam?

- Owszem. - Jacob pochylił się i zarazem zniżył głos. - Jonathan i Nora Blackhawk to pani prawdziwi rodzice, a Rand i Seth to dwaj starsi bracia.

Dłuższą chwilę patrzyła jakby poprzez niego. Wreszcie roześmiała się.

- To najgłupsza rzecz, jaką mi ostatnio powiedziano.

Jacob zachował powagę. Odczekał chwilę i dodał: Jonathan i Nora zginęli w wypadku samochodowym w Wolf River dwadzieścia trzy lata temu. Trójka dzieci, która z nimi jechała, ocalała jednak i została przekazana do adopcji w trzy różne miejsca. Rand, lat dziewięć, trafił do Edwarda i Mary Sloanów w San Antonio. Seth, lat siedem, zamieszkał w Nowym Meksyku u Bena i Susan Grangerów. Elizabeth Marie, dwulatka, adoptowana została przez Charlesa i Josephine Beauchamp z Karoliny Południowej, czasowo przebywających we Francji. Pani i Elizabeth, panno Beauchamp, to jedna i ta sama osoba.

Wyraz rozbawienia zniknął z jej twarzy. Znów odezwała się w niej pamięć czegoś jakby bolesnego i nieokreślonego.

- Panie Carver - zmarszczyła czoło - nie podobają mi się te pańskie rewelacje. Dlaczego miałabym wierzyć w cokolwiek z tego, co pan mówi?

Jacob cofnął się nieco.

- Rozumiem pani zaskoczenie. Wszystko to przychodzi zbyt nagle. A jednak... - Sięgnął do tylnej kieszeni spodni. - Tu są kopie dokumentów potwierdzających moje słowa. Urodziła się pani jako Elizabeth Marie Blackhawk. Co zaś do adopcji, to miała ona charakter nie w pełni zgodny z prawem... Wywieziono panią do Francji i tam zaczęła pani uchodzić za

dziecko małżeństwa Beauchamp. Charles i Josephine wrócili po roku do Stanów i tu zarejestrowali panią jako rodzoną córkę.

Clair była coraz bardziej oszołomiona. Odgłosy z pasażu, rozmowy i śmiechy ludzi zaczęły gdzieś odpływać.

- Mimo wszystko... - zaczęła - nie wierzę panu.

- Może jednak usiadzimy? - Jacob wskazał głową pobliski stolik. -

Tylko na minutę.

Przysiedli na wyplatanych fotelikach. Jacob położył na stoliku wypchaną kopertę.

- Te papiery wszystko pani wyjaśnią. Proszę je sobie spokojnie przestudiować w domu... A potem niech pani do mnie zadzwoni.

Clair odsunęła kopertę.

- Nie. Nie chcę. - Pokręciła głową.

Jacob westchnął. Sięgnął po pakiet i wsunął go do jej torby na zakupy.

- Rand i Seth czekają na panią. Niech pani do mnie zadzwoni.

Czuła, jak w jej głowie zaczyna pulsować ból... Migrena?... Ależ ona nigdy nie miewa migren. Cóż to więc takiego?

Powoli wstała, zebrała rzeczy i ruszyła pasażem ku wyjściu. Szła, nie oglądając się za siebie.

- Clair, kochanie, otwórz drzwi, bardzo cię proszę... No, otwórz, dziecko.

Leżała w swej sypialni zamknięta na klucz i nie reagowała.

- Wiem, że tam jesteś. No, otwórz. Co się z tobą dzieje? Może jej się coś stało? - wołała półgłosem Josephine. - Charles! Charles!

Clair spoglądała w sufit. Lektura dokumentów przekazanych jej przez Carvera zupełnie ją rozstroiła. W kopercie była kopia aktu urodzenia Elizabeth Blackhawk, odbitka informacji prasowej o wypadku samochodowym, a także fotografia - powiększona i zeskanowana - ukazująca Norę z niemowlęciem w szpitalu położniczym, w otoczeniu szczęśliwej rodziny: męża i dwójki chłopców. Wszystko to potwierdzone przez sędziego Henry'ego Barnes'a z Wolf River.

Clair długo oglądała zdjęcie Nory. Nie mogła zaprzeczyć, iż między nią i tą kobietą zachodzi uderzające podobieństwo: te same włosy, wysokie kości policzkowe i spojrzenie błękitnych oczu.

W kopercie znajdował się też duplikat kontraktu zawartego między prawnikiem o nazwisku Leon Waters, z Granite Springs, oraz Charlesem i Josephine Beauchamp, z zawołowaną sugestią dotyczącą dodatkowego honorarium za „usługę adopcyjną”.

Po niespodziewanej konfrontacji z prywatnym detektywem Clair wróciła prosto do domu. I mimo że przeczytała bardzo dokładnie wszystkie dokumenty, wciąż nie mogła uwierzyć w to, co poświadczały. Nie chciała uwierzyć.

Jakże to wszystko miało być prawdą! Dlaczego rodzice mieliby ją całe życie oszukiwać!

- O, Charles, jak dobrze, że jesteś! - zawołała po tamtej stronie drzwi Josephine. - Clair miała się spotkać ze mną i z Victorią na lunchu. Nie przyjechała. Zadzwoiłam do domu i Tiffany powiedziała mi, że jest tutaj, blada i roztrzęsiona. Nie chce z nikim rozmawiać. Siedzi u siebie w pokoju. Zamknęła się na klucz.

W drzwi załomotała pięść.

- Córko, to ja! Otwórz zaraz! Co ci jest?

Clair uniosła się na łóżku. Znała ojca; wiedziała, że nie ustąpi.

Opuściła nogi na podłogę.

- Clair, ja stanowczo proszę...!

No dobrze, właściwie dlaczego nie miałyby do nich wyjść? W końcu i tak muszą ze sobą porozmawiać. Mogą zacząć w tej chwili.

Ruszyła w stronę drzwi, ściskając w garści plik dokumentów z Wolf River.

Jonathan i Nora Blackhawk... Rand i Seth... Rand i Seth: te imiona rzeczywiście coś dla niej znaczyły. Coś chyba ważnego?

- Clair Louise! Otwieraj natych...

Clair zaczęła obracać klucz w zamku.

- Dziecko! Co się stało?! - Josephine na widok córki wyciągnęła obie ręce.

Ojciec milczał, spoglądając na nią badawczo. Clair uniosła dokumenty.

- Muszę was o coś zapytać - powiedziała. - Może usiądziemy. - Cofnęła się na powrót do sypialni. Nie poznała własnego głosu, kiedy go usłyszała. Jej ruchy cechował nienaturalny spokój.

- Co to za papiery? - zainteresował się ojciec.

- Poczekaj, Charles - powstrzymała go Josephine. - Ja widzę, że naszej córce coś jest. Clair, rozumiem, że to zdenerwowanie przed ślubem... To się zdarza wielu pannom młodym. Może dam ci coś na uspokojenie?

- Nie!

Głos Clair zabrzmiał tak stanowczo, że oboje rodzice zamarli w bezruchu. Ich córka nigdy nie używała takiego tonu w stosunku do nich. Bardzo rzadko też pozwalała sobie na słówko „nie”.

- Clair, przerażasz mnie. - Josephine zakryła dłonią usta. - Powiedz wreszcie...

- Wolf River.

- Wolf River? - szepnęła Josephine i spojrzała na ojca.

I w tejże sekundzie, między jednym uderzeniem serca a drugim, między dwoma oddechami Clair pojęła, że Jacob Carver nie kłamał.

W oczach Josephine zamigotała panika. Wyciągnęła rękę w stronę córki, lecz ta zrobiła unik.

- A więc to prawda... - Clair poczuła, jak krew mocno tętni jej w skroniach. - Jestem adoptowana.

Charles zacisnął usta tak, że stały się jedną kreską.

- Kto ci naopowiadał takich rzeczy? Milczała przez chwilę, przełykając ślinę.

- Powiedział mi to Jacob Carver, prywatny detektyw... Wynajęty przez firmę prawniczą z Wolf River. Zaczepił mnie, kiedy wychodziłam od Evelyn. Pokazał mi artykuł z gazety o wypadku samochodowym i zdjęcie mojej... prawdziwej rodziny. - Potrząsnęła plikiem dokumentów. - Dał mi też kopię umowy między wami a człowiekiem o nazwisku Leon Waters.

Josephine poszukała ramienia męża, aby się na nim wesprzeć. Z trudem łapała powietrze.

- Clair...

- Podał też moje prawdziwe nazwisko; moje imiona to podobno Elizabeth Marie... - Obróciła się w stronę okna. Zaczęła spoglądać w dół na strzyżone trawniki przed frontem posiadłości, w której się wychowała. Ich zieleń była soczysta mimo długotrwałych upałów; wzdłuż alejek rosły krzewy azalii i mirtu. Dom, dwukondygnacyjny, utrzymany w stylu Tudorów, ze schodami paradnymi, był najelegantszą budowlą w całym sąsiedztwie.

- Moi rodzice... - spojrzała na Charlesa i Josephine - nazywali się Jonathan i Nora Blackhawk. Zresztą chyba o tym wiecie. Ona była Walijką, a on z pochodzenia Indianinem, Czirokezem.

- Chodź i siądź tu z nami. - Charles wskazał głową sofę i dwa fotele.  
- Musimy sobie rzeczywiście coś wyjaśnić.

Clair oparła się plecami o parapet okna.

- Wyście mnie kupili... - Potrząsnęła głową. - Całkiem tak samo jak jeden z tych waszych statków, domów czy samochodów.

- Na miłość boską, Clair! - Charles tupnął nogą.

- Niepotrzebnie dramatyzujesz. To nie było tak. Stała nieporuszona, przyciskając do siebie plik dokumentów, niczym tarczę.

- A jak było? I dlaczego dopiero teraz zaczynamy o tym rozmawiać?

- Charles, pozwól, może ja... - Josephine spojrzała na męża, ściskając go za ramię. Gdy skinął głową, odwróciła się do córki. - Zaczęło się od tego, że ojciec prowadził swoje interesy we Francji... Było to wkrótce po naszym ślubie. Ja zaszłam w ciążę, ale... - westchnęła - po kilku miesiącach poroniłam. - Josephine ruszyła w kierunku Clair. Po chwili wahania przysiadła obok niej na brzegu łóżka. - Nastąpiły komplikacje... Skończyło się usunięciem macicy. Miałam wtedy dwadzieścia sześć lat.



Prawdziwa tragedia... - Pochyliła głowę, przysłaniając oczy ręką. -  
Myślałam, że moje życie jest skończone.

Mimo urazy i własnego bólu Clair współczuła jej. Przysiadła obok.

- Kiedy twój ojciec przywiózł mi ciebie do domu

- Josephine wyciągnęła rękę i założyła córce za ucho opadający kosmyk - nie zapytałam, skąd cię wziął. Nie dbałam o to. Wszystko, co wiedziałam, to to, że jesteś najśliczniejszym dzieckiem na świecie i że cię bardzo potrzebuję... Miałś trzy latka, gdyśmy wrócili do Stanów, a ponieważ wyjeżdżaliśmy stamtąd przed czterema laty, nikt nie zadawał zbytecznych pytań.

- Pan Carver twierdzi, że adopcja nie była legalna.

- Clair spojrzała na matkę. - .. Że sędzia Waters po prostu sprzedał mnie...

- Waters to rzeczywiście zły człowiek - westchnęła matka. - Nie poznałabym może nigdy jego nazwiska, gdyby nie zadzwonił do nas po paru miesiącach i nie zażądał więcej pieniędzy. Dostał je i wtedy też ojciec opowiedział mi całą historię. Że pochodzisz z Wolf River i że straciłaś rodzinę.

- Ale moi bracia żyją! - Clair podsunęła matce fotografię, ukazującą rodzinę Blackhawków. - Teraz mieszkają podobno w Teksasie i chcieliby się ze mną spotkać.

Josephine pokręciła głową.

- To nie może być prawda... Istnieją akty zgonu twoich braci. Ojciec je widział.

- Tak, pokazywał mi je Waters. - Charles przysunął sobie krzesło do łóżka i usiadł. - Waters wiedział, że zależy mi na czasie, i stąd może nie

całkiem formalny przebieg adopcji. Zwykła papierkowa droga jest bardzo długa... Zadzwoił do mnie ze Stanów, że ma dziecko, to znaczy ciebie. I już po paru dniach byłeś razem z nami we Francji.

- Clair... - Josephine wzięła córkę za rękę. - Ten człowiek, Carver, nie mówi prawdy o twych braciach. On pewnie chce pieniędzy. To jedyne wytłumaczenie, dlaczego sprawa wypłynęła właśnie teraz.

- Ależ on nic nie mówił o pieniądzach - próbowała oponować Clair.

- Jeszcze nie, moje dziecko, jeszcze nie. - Głos Josephine zadrżał. - Taki skandal na trzy dni przed twym ślubem! On wie, że zrobimy wszystko, aby uciszyć sprawę. Przynajmniej mi, że nie skontaktujesz się więcej z tym panem.

- Ja... nie wiem. Ja...

- Skarbie! - Pierś Josephine wezbrała łkaniem. - Nawet jeśli nie nosiłam cię w swym łonie, to jesteś i tak moją ukochaną dziewczynką. Proszę cię, Clair, wybacz nam, że tailiśmy przed tobą tak długo prawdę, i powiedz, że nie dasz się sprowokować temu okropnemu człowiekowi.

Może matka ma rację, pomyślała Clair. Biorąc pod uwagę wszystko to, czego się przed chwilą dowiedziała, nie da się wykluczyć, iż Jacob Carver rzeczywiście kłamie i liczy na jakieś łatwe pieniądze. Nie wyglądał co prawda na szantażystę, ale licho wie, co siedzi w tym człowieku. No, a jego dokumenty... mogą być przecież sprytnie podrobione.

Clair westchnęła i przyłgnęła do Josephine. Oto jest jedyna matka, jaką zna, ta, która ją zawsze pieściła i obdarowywała, kładła chłodną dłoń na rozpalone czoło w chorobie, całowała na dobranoc. Matka nie przeszkadzająca w pierwszych randkach, krzycząca z radości, gdy Clair

obroniła dyplom na uczelni. Martwiąca się jej spóźnionymi powrotami do domu...

No a to, że rodzice oszukiwali ją tak długo? Może to tylko dla jej dobra? Coś trzeba będzie z tym jednak zrobić. Tylko co? Pożyjemy, zobaczymy, pomyślała Clair. Czas leczy rany.

Czas: no właśnie.

Odruchowo spojrzała na swój mały zegarek. I szybko policzyła: do ślubu zostało już tylko siedemdziesiąt sześć godzin, trzydzieści trzy minuty i... jedenaście sekund. Ni mniej, ni więcej.

Skrzyżowawszy ramiona, Jacob oparł się o potężną marmurową kolumnę w bocznej nawie starej katedry. Powietrze świątyni przenikał zapach róż i kadzidła. Z chóru dobiegały dźwięki Muzyki na wodzie Haendla, granej przez kwartet smyczkowy. Przez katedrę niósł się szmer głosów licznie zgromadzonych gości, co najmniej dwustu osób, jak ocenił Jacob.

Ciekawe, co by powiedzieli ci wszyscy przyjaciele Beauchampów i Hollingsworthów, zastanowił się, gdyby się dowiedzieli, co robił ostatniej nocy... pan młody. Nie był sam ani też ze swą narzeczoną. Prywatny detektyw przypadkiem odkrył, że Oliver noc tę spędził z jakimś blond wampem w motelu „Wanderlust”.

Wiedziony profesjonalnym odruchem, Jacob pstryknął nielegalnej parze kilka zdjęć. Pod motelem „Wanderlust” znalazł się zaś dlatego, że miał nadzieję, iż młody Hollingsworth doprowadzi go do Clair. W tym celu zaczął go śledzić; sama Clair była zrazu niedostępna, bo posiadłości Beauchampów bronili ochroniarze i kute sztachety wysokiego ogrodzenia.

Kwartet na chórze przeszedł od Haendla do Mendelssohna. Zabrzmiały dźwięki Marsza weselnego. Jacob wychylił się zza kolumny. Dwieście głów spoglądało teraz tam, gdzie powinna się była pojawić młoda para.

Do licha. Jak tu choć na pięć sekund zyskać dostęp do panny Beauchamp? Od chwili gdy ceremonialnie ruszy ona środkiem głównej nawy, będzie nie do uchwycenia... przez ileś dni. A może i tygodni.

Wtem kątem oka spostrzegł, że otwierają się boczne drzwiczki do zakrystii i... Niebywałe. Niczym biały obłok frunie wprost na niego Clair, z twarzą przysłoniętą welonem.

Ale piękność! Oliver Hollingsworth nie dość, że jest zdradzieckim durniem, pomyślał Jacob, jest w dodatku durniem, który ma tyle szczęścia w życiu.

Clair także zauważyła Carvera. Zwolniła kroku. Jak ten człowiek śmiał tu przyjść? Właśnie dzisiaj? W dodatku nie wygląda zbyt elegancko, ma na sobie zwykłe wytarte dzinsy, czarną koszulkę z krótkim rękawem i... no tak. Kowbojskie buty.

Kiedy uśmiechnął się do niej i zasalutował, przykładając dwa palce do skroni, zgubiła rytm i poczuła, że ma bardzo zimne ręce. Omal nie upuściła bukietu z białych róż.

W następnej chwili wydało jej się, że we wzroku Jacoba jest jakby coś oskarżycielskiego. Cóż, nie zadzwoniła do niego, to prawda. Ale czy obiecywała?... Argumenty matki... Zresztą, jakie to ma w ogóle znaczenie, czy się jest adoptowanym, czy nie! Po dwudziestu trzech latach... Najważniejsze, że rodzice ją kochają. Oliver też ją kocha. Rysuje się przed nią, przed nimi obojgiem wspaniałe, szczęśliwe życie.

Minęła Jacoba ze spuszczoną głową i już po paru krokach była u wejścia do kościoła, gdzie czekał na nią ojciec, gotów jej podać ramię. Nieco dalej stał Oliver.

Dobry Boże...

Podeszła do ojca i wiedziona nagłym odruchem, skłoniła się ku niemu, szepcząc mu coś dłuższą chwilę do ucha. Ojciec miał coraz bardziej okrągłe oczy. Wreszcie spojrzał na nią i pokiwał głową, nie wiadomo, z przygarną czy z podziwem.

- No, no, będzie scena jak z filmu - rzekł półgłosem Charles. - Ale dobrze, rób, co ci serce każe. - Zerknął na Olivera, który wyglądał na zdezorientowanego. - Ale co ja powiem mamie?

- Powiedz tylko, że ją kocham - uśmiechnęła się Clair i żywo ruszyła z powrotem tam, gdzie pod kolumną stał Jacob Carver.

- Panie Carver - rzuciła, zbliżając się ku niemu. - Co by pan powiedział na małą przejażdżkę... ?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Słońce obniżyło się nieco na niebie; było wczesne popołudnie. Oni zaś sunęli pośród uprawnych pól i łąk, z pasącymi się stadami bydła i koni. Mijali zabudowania farmerskie i rezydencje w stylu kolonialnym, okolone parkanami z białych sztachet. Niektóre z rezydencji ozdobione były sztyldami domów uzdrowiskowych lub hoteli.

Clair rozglądała się z zaciekawieniem. Wciąż była w swojej sukni ślubnej, nie zdjęła nawet welonu z głowy. Można by ją i Jacoba wziąć za parę nowożeńców. Pan młody wydawał się co prawda nieco ekstrawagancki w swoich wytartych dżinsach, ale może zdążył się już przebrać?

Jacob co jakiś czas spoglądał w lusterko wsteczne, aby się upewnić, że nikt ich nie goni. Nie, nikt nie gonił. Wkrótce skręcili z głównej drogi w wąską alejkę, wysadzaną drzewami po obu stronach. Za żywopłotami widziało się co parę chwil stare, eleganckie domostwa. Jacob zwolnił, wreszcie zatrzymał auto w zatoczce ocienionej starą magnolią.

Wyłączył silnik. Opuścił do końca szybę po swojej stronie i po stronie Clair.

W tejże chwili pojawił się na poboczu jakiś spacerowicz, z pekińczykiem na smyczy. Był to starszy jegomość, który z zaciekawieniem przyglądał się najpierw ładnemu samochodowi, a potem przeniósł wzrok na jego pasażerów. I przystanął, unosząc brwi.

- Clair?

Spojrzała na niego i zaraz odwróciła głowę. Tamten się nachylił, nie dając za wygraną.

- Clair Beauchamp, przecież się nie mylę? Odchrząknęła.

- No tak, dzień dobry. - I spróbowała się uśmiechnąć.

- Dzień dobry. Czy coś się stało...? - pytał dalej starszy pan, oceniając widać kostiumy obojga pasażerów jako niezharmonizowane, a także dziwiąc się miejscu pobytu panny młodej.

- Ja... - zaczęła. - Ja... uciekłam po prostu od narzeczonego, od rodziców i od dwóch setek gości.

Właściciel pekińczyka, pociągnięty przez zniecierpliwionego pieska, zachwiał się. Skrócił smycz swemu pupilowi i znów się pochylił.

- Co takiego? Ale dlaczego? Jeżeli wolno spytać...

- Bo go nie kochałam - głos Clair zadrżał. - Ja... Ja nie kochałam Olivera Hollingswortha.

Jacob, półobrócony, opierał się plecami o drzwi auta. Z zaciekawieniem obserwował wymianę zdań między Clair i starszym panem. Kiedy właściciel pekińczyka oddalił się wreszcie, zapytał:

- A więc teraz dopiero zrozumiała pani, że...? Spojrzała na zaręczynowy pierścionek.

- Znam Olivera od lat - powiedziała. - Nasze rodziny od zawsze się przyjaźnią. Razem urządzamy święta i różne rocznice. Moi rodzice byli zachwyceni, gdy Oliver mi się oświadczył. A mnie nie przyszłoby do głowy odmówić...

- Aż do dziś.

- Całe moje życie było kłamstwem - westchnęła. Zaczęła powoli zsuwać pierścionek z palca. - Oszukali mnie rodzice... Ja sama oszukiwałam siebie i Olivera. A wszystko to ze strachu przed prawdą i jej skutkami... Kiedy w katedrze zobaczyłam tych wszystkich ludzi, a potem



pana, zrozumiałam: teraz albo nigdy. - Ścisnęła pierścionek w dłoni i podniosła oczy. - Oni mi tego nigdy nie wybaczą.

Miał chęć jej powiedzieć, że co do Olivera miała dobrą intuicję. Nie byłby on prawdopodobnie dobrym mężem, skoro zdradzał ją jeszcze jako narzeczony, i to w noc przed ślubem. Jacob wyczuwał jednak, że Clair jest rozżalona na cały świat, i nie chciał powiększać jej smutku, opowiadając o tym, co podpatrzył ostatniej nocy.

A poza tym, uczuciowe rozterki Clair Beauchamp to nie jego problem. Wynajęto go po to, by odnalazł tę pannę, a nie żeby ją ratował od złej miłości.

- Moi rodzice potwierdzili wszystko, co pan powiedział o Blackhawkach. - Clair z małej kieszonki na biodrze wydobyła jedwabną chusteczkę. Owinęła w nią pierścionek i schowała z powrotem. - Wyjąwszy to, co dotyczy moich braci. Twierdzą, że Rand i Seth zginęli wtedy w wypadku. Ojciec mówi, że widział ich akty zgonu.

- Te akty zostały podrobione. Podobnie jak pani akt zgonu.

- Mój?! - Podskoczyła na fotelu.

Jacob skinął głową.

- Rozumiem... - Clair dotknęła drżącą ręką skroni. - Nie, właściwie nie rozumiem. I to wszystko... dla pieniędzy? Nikt tego nigdy nie sprawdził? Jak to możliwe?

- Sędzia Barnes z Wolf River opowie pani o szczegółach. - Jacob wyciągnął z kieszeni na piersi swój telefon komórkowy i zaczął wystukiwać numer. - A teraz połączę panią z braćmi...

- Nie! - zaprotestowała.

- Dlaczego?

- Nie chcę rozmawiać z nimi przez telefon.

- W porządku. - Skasował numer i schował aparat. - I co teraz? - zapytał. - Może odwiozę panią do domu? Spakuje pani trochę rzeczy i pojedziemy na lotnisko. Ma pani dziś po południu co najmniej trzy samoloty do Dallas. Wolf River jest dwie godziny drogi od lotniska.

- Panie Carver, dom jest ostatnim miejscem, w którym chciałabym się teraz znaleźć. Nie zamierzam też lecieć samolotem.

Clair nie była pewna, kiedy właściwie podjęła tego rodzaju decyzję. Może dwie sekundy temu, a może w chwili, gdy ujrzała Jacoba w kościele? Tak czy owak, decyzję tę podjęła. Do domu nie zamierzała wracać.

- No dobrze... - odrzekł powoli. - Ale po pierwsze... może by mi pani zaczęła mówić po imieniu? Jacob - wyciągnął rękę.

Zawahała się. Poczula nagle, że w tym samochodzie jest naprawdę gorąco. Ujęła wyciągniętą dłoń.

- Clair.

- A po drugie... - Jacob zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów - prawdopodobnie zapomniałaś, że wciąż jesteś w sukni ślubnej.

- Wcale nie zapomniałam - pokręciła głową. - Nie byłoby to łatwe... Mimo wszystko nie zamierzam wracać do domu - powtórzyła.

- W porządku. - Jacob położył ręce na kierownicy.

- I wobec tego jaki mamy dalszy plan?

- Wydaje mi się, że bardzo prosty. - Clair obróciła w swoją stronę lusterko wsteczne i przeglądając się, zaczęła odpinać welon. - Ty, Jacob, osobiście zawieziesz mnie do Wolf River.

Patrzył na nią bez ruchu przez dobre pięć sekund.

- Słucham?

- Powiedziałałam... - próbowała zignorować narastające łaskotanie między zbyt ściśniętymi piersiami. - No więc chcę cię prosić, żebyś mnie zawiózł do moich braci.

- Obawiam się, że to niemożliwe. - Pokręcił głową.

- Zostałem wynajęty do tego, żeby cię odnaleźć i poinformować, kim naprawdę jesteś. I tu się moje zadanie kończy.

- W takim razie daj się wynająć ponownie. Tym razem przeze mnie. - Poruszyła ramionami, próbując zapobiec narastającemu swędzeniu. - Ile wynosi twoje honorarium?

- Mówisz poważnie? - zaśmiał się krótko. - Honorarium... Zresztą, nie, nie podejmę się tego. Mogę cię najwyżej wsadzić do samolotu. Tylko tyle.

- Dlaczego? - Spojrzała zdziwiona. - No dobrze. Zapłacę ci podwójnie.

Jacob zawahał się. I jednak po raz kolejny pokręcił głową.

- Słuchaj - powiedział. - Wolę nie mieć kłopotów. Szczerze. Nie wracasz do domu, a to oznacza, że możemy mieć wkrótce policję na karku. Twoi rodzice... Dwieście osób widziało, jak wymykasz się ze mną z katedry.

Przez chwilę oboje milczeli. Clair próbowała się podrapać przez satynę sukni.

- Sama nie wiem - westchnęła - dlaczego tak się upieram... Zjawileś się tu i nagle zmieniło się całe moje życie... Rodzice mnie ostrzegali przed tobą, a ja ci zaufałam. .. Słuchaj - spojrzała z wyrazem determinacji - zapłacę ci potrójnie!

- Potrójnie? - Uniósł brwi.

- Tak. I zapewniam cię, że mam z czego zapłacić, chociaż nie w tej chwili. Noo... - Położyła dłoń na jego ramieniu.

Ta dziewczyna przywykła, aby spełniano jej zachcianki, pomyślał Jacob. A swoją drogą jej rączka jest gorąca... Biedna Clair męczy się pewnie w tej swojej opiętej sukni; tak się dziwnie rusza co chwila. Piękna suknia, piękna dziewczyna, piękny dekol... Uśmiechnął się.

- Nie, nie skusisz mnie - powiedział. - Mam swoje zasady. Bardzo cię przepraszam, ale...

Nie dokończył zdania, bo odezwał się telefon w jego kieszeni.

Szybkim ruchem wyłowił komórkę i przyłożył ją do ucha.

- Słucham?

- Carver, ty sukinsynu! - zachrobotąło po drugiej stronie. - Żądam, abys mi natychmiast zwrócił moją narzeczoną!

- Z kim mam przyjemność?

- Już ty dobrze wiesz, z kim. I wątpię, czy przyjemność! - pienił się Oliver Hollingsworth.

- W tej chwili jestem trochę zajęty. - Jacob obrzucił spojrzeniem Clair. - Może oddzwonię za jakiś czas, dobrze?

- Za jakiś czas? Już ja się postaram, żeby ci odebrano licencję. Ty...

- Mam pański numer i zdaje się, że adres... - Jacob podrapał się w czoło. - Czy to nie będzie motel „Wanderlust”, pokój szesnaście? Przyjemne miejsce, prawda? Chociaż ściany są tam trochę cienkie, mają uszy, jak to mówią.

W telefonie zapadła cisza. Gdy Oliver odezwał się znowu, mówił już całkiem innym tonem.

- Panie Carver, uniosłem się, przepraszam. Wolałbym, żeby szczegóły dotyczące „Wanderlust” pozostały między nami... Za cenę, powiedzmy, dwudziestu pięciu tysięcy? A jeśli pan mi dostarczy Clair natychmiast, to dorzucę jeszcze dwadzieścia. Zgoda?

Jacob bez słowa wyłączył aparat i schował go.

Ale kanalia, pomyślał. „Dostarczyć mu narzeczoną”! Dobre sobie. Dla takich facetów wszystko jest towarem; wydaje im się, że wszystko i wszystkich można kupić.

- Kto dzwonił? - zapytała Clair. W jej spojrzeniu i głosie był niepokój.

- Nikt, kogo byś znała - odpowiedział, minimalnie mijając się z prawdą, jak ocenił.

Skinęła głową, po czym oblizwała wargi.

- No, a co do tej mojej propozycji... Jacob, zgódź się. Bardzo cię proszę.

- Zgoda - odparł szybko. - Zawiozę cię. - O! - Była wyraźnie zaskoczona.

- Zawiozę... - zawahał się - ale...

- Ale co?

- Nie będziesz mną w drodze dyrygowała, dobrze? Sam wybiorę trasę, być może okrężną, miejsca postojów i tak dalej.

- Oczywiście. W porządku. - Uśmiechnęła się tak słodko i niewinnie, że poczuł nagłe uderzenie krwi do głowy. I nie tylko do głowy.

A niech to.

- I nie za wiele gadania w czasie jazdy. Gadanie mnie rozprasza.

Pokiwała głową. I znów się uśmiechnęła.

- No to jedziemy. - Jacob nachylił się nad Clair i sięgnął po jej pas bezpieczeństwa. Przelotnie zerknął za dekolt sukni. Zapiął jej pas, potem swój.

Uruchomił silnik i zaczął manewrować na wąskiej drodze. Po chwili jechali już ku autostradzie.

Przez następne czterdzieści pięć minut Clair robiła wszystko, by nie myśleć o tym, co zostawia za sobą.

Jakkolwiek nie żałowała, że nie poślubiła Olivera, czuła się jednak winna, że potraktowała go tak fatalnie. Nie był człowiekiem specjalnie wrażliwym ani nie wydawał się bardzo zakochany w niej przez te dwa lata, gdy byli narzeczonymi, jednak nie zasługiwał na to, aby go tak bez słowa porzucić przy ołtarzu.

Zyskała co prawda dla swego kroku aprobatę ojca, ale co będzie z matką? Victoria Hollingsworth jest jej przyjaciółką... Rozmyślając tak, Clair poczuła, że jej strój stał się w upale popołudnia wręcz nie do zniesienia. Zaciskała zęby, żeby głośno nie narzekać.

Od czasu do czasu ponawiała próby podrapania się przez satynę, ale to nic nie dawało. Odczekała jeszcze kwadrans. Wreszcie nie wytrzymała.

- Zatrzymaj wóz - poprosiła. - Zaraz.

Jacob zdjął nogę z gazu.

- Co się stało? - zapytał.

- Zatrzymaj - powtórzyła, mocując się z dekoltem sukni.

- Rozumiem - uśmiechnął się. - To ten pancierz. Po kilkuset metrach zjechali na parking, całkiem pusty, ocieniony cyprysami.

Clair niecierpliwym ruchem uwolniła się od pasa.

- Jacob, porozpinaj mnie. - Nachyliła się, aby mu ułatwić dostęp do guziczków na plecach.

Znów się uśmiechnął i pomyślał, że jazda z panną Beauchamp jest coraz bardziej interesująca. Zaczął manipulować przy zapięciu.

- Prędeży, prędeży - popędzała go. - I gorset też. Jak się okazało, najgorsza była tortura gorsetu. Kiedy Jacob pokonał ostatnią haftkę i usztywniona materia opadła na boki, jego oczy ujrzały biedne, piękne plecy, usiane czerwonymi plamami. Odruchowo pogładził skórę. Clair poderwała się.

- Spokojnie - powiedział. - Odpręż się. Obserwowałem, jak cierpisz. Lepiej powiedz, gdzie cię najbardziej swędzi.

Spojrzała z ukosa.

- Wszędzie. Absolutnie wszędzie.

Przystąpił do działania, starając się powstrzymać zbędne skojarzenia... Chociaż nie było to łatwe. Brała go chęć, żeby zapuścić się poniżej szczupłej talii, zbadać kształt biodra, posunąć się ku przodowi, pogłaskać brzuch, zważyć na dłoni pierś...

- Mmm... Ależ przyjemnie - mruknęła Clair.

Z zamkniętymi oczami, wciąż pochylona, dopraszała się dalszego ciągu, chociaż czuła, że przeciąga strunę, że jeszcze chwila, a granica przyjacielskiej usługi zostanie przekroczona.

Ale nic takiego się nie stało, bo Jacob sam wiedział, kiedy przerwać. Klepnął ją leciutko w plecy i powiedział:

- No, myślę, że jesteś uleczona.



Nadal nie otwierając oczu, oparła się i oddychała pełną piersią. Po chwili usłyszała kliknięcie klamki. Spojrzała: Jacob wysiadał z samochodu.

Przeszedł na tył, otworzył bagażnik i przez chwilę grzebał w nim. Powrócił, niosąc kilka sztuk garderoby.

- Przymierz. - Rzucił na wolne siedzenie szare szorty do joggingu i zwykłą białą koszulkę z krótkimi rękawami. Dołożył bermudy z czerwonym lampasem. - Co wolisz?

Wszystko było oczywiście za duże, ale Clair i tak uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Prawdziwy z ciebie anioł stróż - pochwaliła. - Mąż opatrnościowy.

- Robię, co mogę. - Skromnie spuścił oczy. - No! - Pochylił się. - To ja tu sobie poczekam na zewnątrz, a ty się przebieraj.

Wyprostował się, przymknął drzwi samochodu i oparł się o nie plecami.

Rozejrzała się dookoła: parking był nadal pusty. Uniosła się na fotelu i paroma ruchami zdarła z siebie falbaniastą suknię, a za nią gorset. Jedno i drugie umieściła na tylnym siedzeniu. Po chwili, w sportowej koszulce i szortach, wyglądała już, jakby wracała z treningu, a nie od ołtarza.

- Gotowe! - zawołała.

Jacob odwrócił się. Z uznaniem pokiwał głową. Wsiadł i uruchomił silnik.

- Zapnij pas! - przypomniał.

Clair, nareszcie swobodna, niemal symbolicznie rozebrana z dawnego życia, zaczęła coś nucić. Zorientowała się, że podśpiewuje razem z radiem, w którym Aretha Franklin powtarzała refren:

Take It Easy, Take It Easy...

Nie przejmuj się...

RS

## ROZDZIAŁ TRZECI

Była prawie ósma wieczorem, gdy Jacob skręcił w stronę baru samochodowego, oferującego głównie hamburgery. Ustawił się w kolejce do okienka. Przed nimi były dwa auta.

Czuł się głodny, zmęczony i w ogóle w nie najlepszym humorze. Dotąd przywykł podróżować sam. Clair starała się co prawda milczeć i nie zawadzać, jednak rozpraszała go i tak - samą swą obecnością. Promieniowała kobiecością, i to jaką! Jacob walczył w myślach z obrazem obnażonych pleców, które potraktował przed paroma godzinami oględnie, ale które miałyby chęć po-pieścić dokładniej.

Auta przed nimi odjechały; okienko było wolne.

- Witamy w „Bobby Burgers”, w Lenore. Nazywam się Tiffany - odezwała się przez głośnik nastolatka w firmowej czapeczce, zbierająca zamówienia. - Czym mogę służyć?

Jacob do końca opuścił szybę.

- Weźmiemy trzy razy Wielkiego Bobby'ego - powiedział - dwa razy frytki i dwa...

- Chwileczkę, chwileczkę. - Clair zaczęła odpinać swój pas. - Popatrzmy najpierw na jadłospis.

Jacob odwrócił się w jej stronę.

- Na co tu patrzeć?

Clair wychyliła się i kładąc mu się prawie na kolanach zaczęła studiować podświetlone menu.

- Ja poproszę o frytki z sosem chili... - Powiedziała to tak marzycielsko, jakby frytki z chili były rzadko dostępną ekstrawagancją kulinarną. - I...

- No, szybciej - poganiał Jacob.

- I... burgera z podwójnym serem. Aha, i koktajl czekoladowy.

- To wszystko? - Jacob czuł się już bardzo głodny. I więcej niż bardzo, bo przecież ta kobieta, przechylająca się przez niego, miała gołe piersi pod koszulką i pobudzała w nim głód ciała, prawie nie do opanowania.

- Nie, jeszcze nie - uśmiechnęła się. - Proszę pani - powiedziała do nastolatki w okienku - ja zamawiam do hamburgera dodatkowe pikle i majonez.

Wreszcie zlecenie zostało w pełni sfinalizowane i opłacone. Minęło jeszcze parę chwil, nim wyposażeni w pudełka z jedzeniem oraz papierowe serwetki mogli odjechać na stanowisko konsumpcyjne.

Jacob zaparkował i z zaciekawieniem spoglądał na szczególną gorliwość, nieledwie celebry, z jaką Clair przystąpiła do działania.

- Wygląda na to, że przepadasz za burgerami Bobby'ego - powiedział.

Oderwała się od swego pudła.

- Ten jest mój pierwszy w życiu - oświadczyła.

- Twój pierwszy Bobby? - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Mają dwadzieścia pięć tysięcy filii w pięćdziesięciu stanach - popukał w napis na pudełku - a tobie udało się jakoś nigdy nie stanąć oko w oko z Wielkim Bobbym?

- Nigdy. - Ugryzła pierwszy kawałek puszystej bułki z wkładką. Oblizwała majonez.

Jacob znów pokręcił głową i zabrał się do własnego Bobby'ego.

- Rodzice zabraniali mi takich rzeczy - wyjaśniła Clair, żując ze smakiem. - Mówili, że to są „świństwa”, „pseudojedzenie”. - Nie odkładając bułki, sięgnęła do pudełka z frytkami polanymi sosem chili. Spróbowała.

- Pyszne! - Spojrzała na Jacoba.

On wielkim kęsami pochłaniał drugiego już Bobby'ego.

- A więc to dlatego - przełknął - wrzuciłaś do kubła swego hot doga, tam, w tym pasażu... Myślałaś, że jestem jakimś szpiegiem nasłanym przez mamę?

- Mniej więcej - uśmiechnęła się. - Bo mama wciąż się o mnie martwi.

- Z powodu hamburgerów i hot dogów?

- No, nie tylko. - Clair zajrzała do kubeczka z koktajlem czekoladowym. - Mama jest w ogóle trochę nadopiekuńcza. .. - Pokiwała głową. - Tak by to można nazwać.

- Trochę! - parsknął Jacob i zaczął otwierać butelkę z wodą sodową.

- To tak, jakbyśmy powiedzieli, że słynny O'Neil z „Rangersów” jest „trochę” wysoki.

Clair zastanowiła się.

- Myślę, że to dlatego, że mama mnie kocha... Jestem, to znaczy, byłam jej jedynym dzieckiem... Twoja matka też się na pewno o ciebie martwi.

- Martwi! - Jacob łyknął z butelki. - Tak się martwi, że zostawiła mnie, kiedy miałem dziewięć lat, i jeszcze mego młodszego brata, na łasce ojca alkoholika. A sama zniknęła. - Wzruszył ramionami. - Pokazała się po dziesięciu latach na pogrzebie ojca, ale właściwie też tylko dlatego, że powiadomiono ją, iż współdziedziczy małą polisę na życie. Zainkasowała pieniądze i od tej pory już jej nie widziałem.

- Bardzo ci współczuję. - Clair ciepło spojrzała na Jacoba. - Wygląda na to, że tobie i mnie trafiły się w życiu dwa skrajnie odmienne losy.

- Skarbie - uniósł swoją butelkę z wodą jak do toastu - wygląda to na spostrzeżenie stulecia.

Kończyli jeść w milczeniu. Jacob z podziwem zaobserwował, że Clair przy niczym nie grymasi. Wchłonęła nie tylko Wielkiego Bobby'ego z podwójnymi piklami i majonezem, następnie frytki z sosem chili, ale też wypła cały kubek koktajlu czekoladowego.

Przyglądał się następnie, jak smukłymi palcami składa starannie opakowanie po burgerze, tackę po frytkach, jak rozpląszcza tekturowy kubek po koktajlu i wkłada to wszystko, wraz z firmowym pudełkiem, do załączonej torby na odpadki. Jej ruchy były pełne gracji. W ogóle Clair była niesłychanie elegancka, mimo że przebrana teraz w workowate szorty i o trzy numery za dużą koszulkę.

No cóż, elegancka czy nie, pomyślał Jacob, niemniej przydałoby jej się na dalszą podróż coś bardziej dopasowanego, nie mówiąc już o jakichś drobiazgach osobistych.

Westchnął. Robić zakupy, i to z kobietą, było ostatnią rzeczą, o jakiej marzył. Ale trzeba się przemóc, trudno. Spojrzał na zegarek. Dochodziła

ósma czterdzieści. Miejmy nadzieję, że znajdą jeszcze w tym Lenore jakiś czynny supermarket.

Dwie godziny później Clair siedziała na dywaniku w pokoju motelowym, buszując po plastikowych torbach z Sav-Martu. Wyciągnęła różową koszulkę z bawełny, potem krótką dżinsową spódnicę i wreszcie zielonkawą, w kolorze mięty, rozpinaną bluzę. Z innej torby wydobyła lawendowy sweter. Przytuliła doń policzek.

Nigdy dotąd nie była w czymś takim jak supermarket Sav-Mart. Wiedziała o istnieniu sieci typu „mydło i powidło”, ale z matką uczęszczała raczej do ekskluzywnych miejsc, wyspecjalizowanych, połyskliwych, z krawcem na miejscu i z dostawą ubrań do domu.

Przez ostatnią godzinę bawiła się dobrze, nie gorzej niż w przydrożnym „Bobby Burgerze”. Jacob prowadził druciany wózek, a ona wrzucała doń wszystko, co potrzebne, z okryć, bielizny, kosmetyków i przyborów toaletowych.

Do części odzieżowej marketu przylegała sportowa, z rowerami, hulajnogami i hantlami, dalej były środki czystości, potem dział papierniczy, a w nim książki na wagę, następnie żywność, w tym dla zwierząt, i wreszcie upominki. Clair spodobał się niesłychanie pewien mechaniczny saksofonista, za piętnaście dolarów, czarnoskóry, w złocistych portkach i wielkich srebrnych okularach, grający i wyginający się do taktu po wrzuceniu przez szczelinę w czole pięciocentówki.

- Weźmy to - poprosiła. Ale Jacob pokręcił głową.

- Może kiedy indziej - powiedział. - Skupmy się teraz na tym, co naprawdę niezbędne.



- Zwrócę ci pieniądze - nalegała. - Za wszystkie zakupy zwrócę. Co do centa.

- Wierzę, wierzę - kiwał głową i już był ze swym drucianym wózkiem daleko, przy kasach.

Prosto z Sav-Martu przyjechali tu do motelu, gdzie Jacob wynajął dwa osobne pokoje. Clair rozgościła się w swoim i właśnie postanowiła przed snem nacieszyć się, niczym dziecko na Boże Narodzenie, wszystkimi prezentami, bo na razie były to przecież prezenty od dobrego świętego Mikołaja, prywatnego detektywa Jacoba Carvera.

Siedziała więc na podłodze, ze skrzyżowanymi nogami, i dalej przeglądała zawartość toreb... Oto staniki i majtki, z czarnej koronki i białego jedwabiu... I jeszcze majtki, których mama nigdy by nie pochwaliła: przepaska z małą trójkątną szmatką we wzór lamparci. Stringi.

Wszystko to przymierzy rano. Wstała, zgarnęła naręczce bielizny i rzuciła ją na łóżko. Ruszyła w stronę łazienki. Wtem poczuła przykry skurcz w żołądku.

Złapała się za brzuch, a równocześnie rozległo się pukanie do pokoju. Wzięła głębszy oddech i wyprostowała się.

- Kto tam?

- To ja, Jacob.

Wszedł i od razu na progu zauważył, że z Clair jest coś nie tak.

- Wyglądasz... Wydajesz się trochę blada. Nic ci nie jest?

- Nie... - Pokręciła głową. Ból w istocie na chwilę ustąpił. -

Wszystko w porządku.

- Na pewno?

- Miałam jakiś skurcz żołądka. To na pewno z nerwów. Tyle się dziś wydarzyło...

- Rozumiem. - Postawił na stole słodko pachnące różowe pudełko i zdjął pokrywkę. - Kupiłem naprzeciwno kilka pączków. Świeże! Pomyślałem, że mogłabyś mieć chęć zjeść jednego na kolację. Albo jutro rano?

Jeśli przed chwilą Clair wydawała się blada, to teraz, gdy doleciał ją mdlący zapach słodkości, stała się biała jak prześcieradło. Pobiegnęła do łazienki.

Może jest uczulona na pączki?

Pokręcił głową i rozejrzał się. Na podłodze i na łóżku piętrzyły się sterty różnych drobiazgów. To aż tyleśmy tego nakupili? Starczyłoby na pół roku, nie na kilka dni podróży.

Sięgnął po pączka. Potem zbliżył się do łóżka i przyjrzał się dokładniej leżącej na nim garderobie. Wolną ręką wyłowił lamparcie stringi.

Szczerze się zdziwił. A więc panienska z dobrego domu zamierza to włożyć? Żeby kogoś kusić? Ale kogo? I nagle poczuł się podniecony.

Cofnął się ku stołowi i sięgnął po następnego pączka. Poradził sobie z nim paroma kęsami. Oblizwał palce.

W tej samej chwili zza drzwi łazienkowych dobiegł odgłos spuszczonej wody.

Jacob rzucił stringi na łóżko. Odczekał. Ponieważ jednak nikt nie wychodził, zawołał:

- Clair! Wszystko w porządku? Cisza.

Ruszył ku łazience. Zapukał.

- Nic ci nie jest?

- Już dobrze - dobiegła cicha odpowiedź. Potem znękany głos dodał:

- Odejdź.

Ignorując żądanie, nacisnął klawiskę. Otwarte. Wszedł do środka. Ujrzał Clair siedzącą na podłodze, opartą plecami o wannę, z głową ułożoną na podciągniętych kolanach.

Przykląkł obok.

- Coś ci zaszkodziło - powiedział ze współczuciem. - No tak, wymieszałaś pikle z koktajlem czekoladowym i z frytkami.

Spojrzała z ukosa.

- Uhm.

- Nie przeszkadzałem ci... Ostatecznie jesteś dorosła.

- Uhm - powtórzyła.

- .. Ale może powinienem się tobą teraz trochę zaopiekować?

Westchnęła.

- Co masz na myśli?

- Nic, nic - uśmiechnął się. - Pomogę ci się po prostu położyć, dobrze?

Zerknęła znowu i z wahaniem skinęła głową.

Zaprowadził ją do łóżka, z którego zdjął wszystkie zakupy. Szybko też zakrył pudełko z pączkami. Rozłożył pościel.

- No, gotowe. - Podał jej rękę. - Kładź się. I spróbuj odpocząć. Przed nami kilka długich dni podróży. Samochód to nie samolot; do Wolf River jest daleko.

Położyła się ukosem, z jedną nogą na podłodze. Przymknęła oczy.

Stał nad nią i zastanawiał się, co oznacza ta noga na podłodze. Clair chciałyby gdzieś pójść? Albo też chciałyby, żeby do niej ktoś przyszedł? I znów poczuł się podniecony.

Zacisnął zęby i ruszył ku wewnętrznym drzwiom, łączącym oba pokoje. Ma się jakieś zasady, nie sypia się nigdy z klientkami.

- Dobranoc - powiedział, gasząc światło.

Wciąż było ciemno, gdy Jacob ocknął się. Nie był pewien, co go właściwie obudziło. Zerknął na radyjko z elektronicznym czasomierzem, stojące na szafce nocnej. Ekranik wyświetlał 5.46. Przecież to ciągle jeszcze środek nocy!

A skąd tutaj zapach kawy? Nie, nie, to muszą być jakieś przywidzenia.

Umościł się wygodniej na poduszce. Leżał na boku, w pozie, w której najłatwiej zasypiał, sen jednak nie chciał powrócić.

Kawa? I coś jeszcze pachnie, pomyślał. Jakby... brzoskwinie?

W następnej chwili ktoś wyszeptał jego imię. Ugiął się też materac, tuż za jego plecami. Jacob gwałtownie się odwrócił.

- To ty, Clair? - zapytał. - Co ty tutaj robisz?

No tak, oczywiście, to ona. Siedzi w jego pokoju, na brzeżku łóżka, o bladym świetle i...

- Nic nie robię. - Wzruszyła ramionami. - Chciałam z tobą porozmawiać.

- O piątej czterdzieści sześć?

- Nie mogłam czekać.

Jacob ziewnął, przysłaniając usta.

- Masz ty zachcianki - uśmiechnął się krzywo.

- Przede wszystkim mam pewien plan. - Wstała, okrążyła łóżko, zapaliła lampkę na szafce nocnej i obok niej postawiła parujący kubek z kawą.

Światło oślepiło go na moment. Przysłonił ręką oczy. Po chwili opuścił rękę i pociągnął nosem. Zapach kawy kusił. O, i nie tylko zapach kawy!

Odchrząknął.

- Clair... Jednak może lepiej stąd wyjdź... Bo nie ręczę za siebie!  
Zaplotła ramiona i spojrzała z góry.

- Co to znaczy „nie ręczę”?

Uniósł się na łokciu, a potem wsparł się o wezglowie. Koc i prześcieradło zjechały nieco w dół, obnażając nagi tors.

- Czy na liście zakazów twojej mamy nie było ostrzeżenia przed gołymi facetami w motelach?

Uśmiechnęła się.

O, właśnie między innymi o tym chciałabym z tobą pomówić.

Obejrzał ją sobie od stóp do głów. Głowa Clair była wyraźnie wilgotna, widać umyta niedawno. Ubrana była w różowe wdzianko bez rękawów i spódniczkę mini.

A niech to. Schrugałby ją całą. Westchnął. Szykował mu się niezły ambaras z tą panną Beauchamp... Ambaras przez duże „A”.

- Mój ty słodki kłopotniku... - zaczął. Odsunął nieco lampę, bo go razila w oczy. - A więc o czym to właściwie mamy rozmawiać?  
Zapomniałem.

- Kłopot...? - Przykucnęła obok łóżka. - Jacob, ja nigdy nie byłam niczym kłopotem. - Uśmiechnęła się. - Jestem od zawsze bardzo grzeczną dziewczynką... I to jest może nawet główny problem mego życia.

- Główny problem życia? - Podciągnął koc. - Chcesz powiedzieć, że nigdy się nie buntowałaś? Nawet jako nastolatka?

Nabrała powietrza.

- Skoro już o tym mówimy... No więc tak, bardzo wcześnie postanowiłam sobie, że będę Idealnym Dzieckiem, ponieważ bardziej niż czegokolwiek innego pragnęłam akceptacji ze strony rodziców.

- Postawiłaś sobie niełatwe zadanie - odezwał się współczująco.

- Owszem - zgodziła się. - Choć w sumie to niezbyt przykre zadanie... Bo musisz wiedzieć, że wcale nie wbrew sobie chciałam być... grzeczna. Moi rodzice zawsze byli dla mnie dobrzy. I jeśli nawet zbyt opiekuńczy - to z nadmiaru miłości. A ja też ich kochałam i pragnęłam ich zadowolić.

- No to gdzie problem? - spytał Jacob. - Bo coś mówiłaś o „życiowym problemie”?

- No, tak - skinęła głową Clair. - I tu się właśnie pojawia mój plan...

- Co za plan?

Clair sięgnęła po kubek, w którym wciąż parowała kawa.

- Napij się - wyciągnęła rękę. - Dobra. Mocna... A mój plan polega właściwie na tym, żeby nie mieć żadnego planu.

- Clair, mówisz ciągle zagadkami...

- Dobrze. Więc sprawa jest prosta. Otóż mam ochotę przez kilka dni pożyć spontanicznie. Impulsywnie. Nawet nieodpowiedzialnie! - W oczach Clair zapaliły się iskry przekory.

Jacob pokręcił głową. Ta dziewczyna nie wie chyba, co mówi. Może jej się wydaje, że gra w jakimś serialu? Pociągnął łyk kawy.

- Clair... Ja cię zawiozę do Wolf River, dobrze? A ty już tam sobie na własną rękę zaczniesz żyć impulsywnie czy spontanicznie. Zgoda?

- Ale ja bym woląa jeszcze przed Wolf River... Pojedźmy do Teksasu okrężną drogą, co? Sam coś wczoraj mówiłeś, że wybierzesz inną drogę... Bądź moim przewodnikiem, pokaż mi rzeczy, których dotąd nie widziałam, naucz czegoś, czego nie umiem...

- Clair! - Jacob odstawił kubek. - Co ci chodzi po głowie? Do czego ty zmierzasz?

- Za wszystko zapłacę... - uśmiechnęła się i pochyliła w jego stronę. Przyklękła, opierając się o krawędź łózka. - Poświęć mi tylko trzy albo cztery dni.

Znów doleciał go ten brzoskwiniowy zapach. Czy to naturalny aromat jej skóry, czy jest czymś wypomadowana? Kolejny raz zaczęła w nim tętnić krew. Kim jest ta dziewczyna, pomyślał, czy jest aż tak naiwna, że nie wie, czego żąda, czy też raczej kpi sobie z niego?

Poczuł nagły gniew. Ujął Clair za ramiona i potrząsnął nią.

- Na wszelki wypadek powtórzę! Nie ręczę za siebie - jeśli będziesz mnie tak kusiła. Klientka, nie klientka, nie jestem z drewna.

Odczekała moment. Uniosła głowę.

- Wierzę ci... - powiedziała. Zajrzał jej w oczy.

- Wierzysz?

Nie spuściła wzroku. Skinęła głową.

- To co, chcesz może czegoś impulsywnego... od razu? Proszę bardzo!

Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. I zdumiało go nie tylko to, jak bardzo sam chciał tego pocałunku, ale i to, że Clair, zamiast wymierzyć mu policzek lub wykonać równie gwałtowny gest, przyłgnęła do niego.

Po nieskończeniu długiej chwili oderwali się od siebie. W oczach Clair była mgiełka, uśmiech i żądanie... czegoś więcej?

On także pragnął czegoś więcej, ale doświadczenie podpowiadało mu, że w świecie nie ma nic za darmo i że za owo „więcej” musiałby zapłacić cenę, której wolał jednak nie płacić.

- Lepiej mi nie ufaj. - Pokręcił głową. - A jeśli bardzo potrzebujesz mężczyzny... to znajdź sobie innego.

Clair znów przysiadła na piętach i zaczęła się cicho śmiać.

- No nie... Powiem ci coś: mężczyzna jest teraz chyba ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję.

- Czyżby... ? - Jacob wydawał się zdezorientowany.

- Nie obraż się. - Poprawiła włosy, zakładając kosmyki za uszy. - Bardzo przyjemne było to całowanie, ale wierz mi: ja chcę tylko, żebyś mnie zawiózł ciekawą drogą do Wolf River, nic więcej.

Całowanie z nim było przyjemne? Zmarszczył czoło. Już on by jej pokazał, jak wyglądają prawdziwe przyjemności!

Tymczasem Clair wstała i ruszyła w stronę drzwi łączących oba pokoje. Z ręką na klamce, odwróciła głowę.

- Szkoda, że nie chcesz wziąć zlecenia, na które cię namawiam. - Nacisnęła klamkę. - Przyślę ci czek za te dwa dni. No, a teraz - uniosła lewą rękę - zegnaj. I dziękuję za wszystko.

Patrzył, zaskoczony. Po chwili poderwał się z łóżka.



- Zaraz, chwileczkę! O co ci właściwie chodzi?

- Idę się spakować - wzruszyła ramionami. - A potem zadzwonię do agencji wynajmu aut i poproszę o podstawienie jakiegoś samochodu.

- I co, pojedziesz dalej sama?

Znow się zaśmiała.

- Myślę, że to już nie twój interes.

- A ja myślę, że jednak mój! - Zdecydowanym ruchem opuścił nogi na podłogę i wstał, owijając się prześcieradłem.

Przekłęta kapryśnica, pomyślał. A ona patrzyła okrągłymi oczami, jak wlokąc za sobą biały tren, Jacob zmierza w jej kierunku. Stanął tuż przed nią.

- Wyruszamy za kwadrans, dobrze? I poproszę o jeszcze jedną kawę. Aha, i są zdaje się z wczoraj jakieś dwa pączki?

- Nic mi nie mów o pączkach! - Clair pogroziła palcem.

Uśmiechnął się.

- W porządku. - Poprawił prześcieradło. - W takim razie ja idę pod prysznic, ty zamów kawę i... niech się dzieje ten twój plan „bez planu”.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Clair patrzyła, jak Jacob wystukuje kciukami na kierownicy rytmy z płyty Beatlesów, którą nastawił. Już trzy godziny temu opuścili Lenore. Nie rozmawiali; rozmowę zastępowała muzyka, tak jak wczoraj.

Przed dziesięcioma minutami przekroczyli granicę stanu Georgia. Przedtem jeszcze zatrzymali się na krótko w miasteczku o nazwie Don't Blink\*, gdzie kupili kilka butelek wody mineralnej, zapowiadał się bowiem kolejny, upalny dzień.

Clair oczywiście przesadzała, twierdząc, że mężczyzna to ostatnia rzecz, jakiej by teraz potrzebowała. Cały czas pamiętała bowiem pocałunek w motelu i miałaby chęć na następny - nie tylko na przejażdżkę krętą drogą po Stanach, w drodze do Wolf River. Zerknęła ku Jacobowi, lecz on niezłomnie wpatrywał się w autostradę i słuchał muzyki, co jakiś czas podśpiewując.

Całowała się już wiele razy, ale nigdy tak... brawurowo. To dziwne, pomyślała, żyła widać wśród niewłaściwych ludzi! No, a Oliver... Jego pieszczoty były zawsze jakieś takie... uprzejme? Wymierzone... Ledwie ledwie.

*\* Don't Blink - „Nie migaj”, „Nie mrugaj”.*

Znów zerknęła ku Jacobowi. Jego mocną szczękę ocieniał dobowy już zarost... Najwyraźniej zapomniał się rano ogolić, albo nie zdążył. Nad prawą brwią dostrzegła postrzępioną bliznę, niby maleńki zygzak błyskawicy. Nos miał orli, a usta - na wspomnienie ich smaku oblizwała wargi - usta ujęte były jakby w nawiasy bruzd policzkowych.

Zmusiła się, by odwrócić głowę.

Przeszedł kolejny kwadrans muzyki i milczenia. Beatlesi zaczęli akurat śpiewać Fool On the Hill, gdy Clair na mijanym pagórku zauważyła chłopca puszczającego latawca. Latawiec był w zielono-białe pasy i miał długi, czerwony ogon.

- Nigdy się czegoś takiego nie robiło - powiedziała bezosobowo, obracając głowę za sielskim widoczkiem.

Jacob ściszył muzykę.

- Słucham?

Obróciła się, wciąż ścigając spojrzeniem chłopca.

- Mówię, że nigdy nie puszczałam latawców.

- Latawców? - Uśmiechnął się do niej. - A ja puszczałem.

- I co? Pamiętasz, jak to jest?

- Pamiętam. Miałem na przykład taki pomarańczowy, z cyfrą „01”...

- Dlaczego „01”?

Przyjrzał jej się z niedowierzaniem.

- No jak to: Zero Jeden to generał Lee\*.

- Generał Lee?

- Ten... z serialu The Dukes of Hazard. Luke Duke, Bo Duke i Daisy Duke.

- Ach, z serialu. Słyszałam coś o tym.

- Słyszałaś? To znaczy, że nie oglądałaś? - Jacob nie mógł się nadziwić. - Żyłaś naprawdę pod kloszem.

- Seriale były u nas w domu zakazane.

- A co było dozwolone?

\* *Gen. Robert Edward Lee (1807-1870), dowódca wojsk*

*Konfederacji w czasie amerykańskiej Wojny Secesyjnej (przyp. tłum.).*

Wydęła usta.

- Hm... Na przykład dobre filmy. Dzienniki. Koncerty... No i dużo zajęć poza domem. Lekcje baletu, dobrych manier, fortepianu. Sobotni kotyliion.

- Kotyliion?

- Tańce z kimś, kto wylosował ten sam znaczek co ty.

Jacob pokręcił głową.

- Ja bym takiego życia chyba nie wytrzymał.

- Mnie też nieraz było trudno, ale grzecznie robiłam to, co kazała mama.

- Ach, te mamy - skrzywił się Jacob. Przez chwilę oboje milczeli.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś - odezwała się znów - jak wyglądałoby twoje życie, gdyby matka was nie opuściła?

Owszem, zastanawiał się. Ale teraz odgadł, że Clair ma na myśli raczej siebie i to, co by było, gdyby nie zginęła jej własna matka.

Wzruszył więc ramionami.

- Nic się nie da zmienić w życiu. Jest jak jest, i tyle. Pokręciła głową.

- Niekoniecznie. To i owo daje się ulepszać. Spojrzał na nią.

- Czy ja wiem? Chociaż... może. W końcu ty sama zaczęłaś wczoraj poprawiać swój los, przy ołtarzu. Trzeba przyznać, że masz charakter.

- A mam - przyznała. I zaraz zrobiła sceptyczną minę. - Ale zraniłam tyle osób...

- A gdybyś wyszła za Olivera... - Jacob zmienił bieg, dodał gazu i gładko wyprzedził dużą ciężarówkę. - Kogo wtedy byś zraniła?

- Siebie.

- No widzisz. - Jacob użył takiego tonu, jakby samodzielnie udowodnił coś nad wyraz doniosłego.

Uśmiechnął się do Clair, łowiąc równocześnie kątem oka drogowskaz z napisem „Ambiance, 5 mil”. Następną tablicą był wielki billboard miejscowego baru, oferującego „Pyszne Hot Dogi”. Spozrzegł, że i Clair zerka ku tej tablicy.

- Panno Beauchamp - z lekka skłonił głowę - czy mógłbym panią zaprosić do Ambiance na pysznego hot doga?

Podchwyciła ton i też odgrywając lekcję dobrych manier, odrzekła:

- Panie Carver, będę zobowiązana. Jedźmy tam niezwłocznie.

Naturalnie jeśli nie będzie to dla pana zbyt ambarasujące.

Clair spojrzała na zegarek. Była już siódma wieczorem. Ambiance pożegnali mniej więcej czterysta mil temu. A teraz parkowali przed motelem „Nocna Sowa” w miejscinie o nazwie Plug Nickel. Jacob poszedł do recepcji i nie wracał. Słońce stało nisko, ale wciąż prażyło. Clair napiła się wody z butelki i postanowiła zrobić mały spacer wokół samochodu, dla rozprostowania nóg.

Kiedy wysiadła, dobiegły ją dźwięki muzyki country z restauracji po drugiej stronie ulicy, ozdobionej żółtym neonem „Weber's Bar and Grill”. Obejrzała się na motel; Jacob ciągle jeszcze czekał w recepcji, w której najwyraźniej nikogo nie było. Widziała go, jak znudzony puka w kontuar.

Na szosie pojawił się zakurzony czarny pikap i zagwizdano z niego. Pomyślała, że to na nią, ale była w błędzie. Zagwizdano na platynową blondynę w krótkiej, skórzanej czarnej spódnicy, w czerwonym topie i na bardzo wysokich szpilkach, która wyszła ze sklepu spożywczego na

rogu. Miała wspaniałą biust i parła nim do przodu jak katamaran. Jej twarz zdobił mocny makijaż. Po paru krokach pchnęła drzwi do baru.

Fascynujące, pomyślała Clair. A gdyby tak pójść za nią...? Nigdy w życiu nie była w małomiasteczkowym saloonie. Korciło ją bardzo, żeby sobie coś takiego obejrzeć od środka. Jeszcze raz zerknęła ku motelowi. Jacob cały czas czekał w recepcji.

Wpadnę na sekundkę, postanowiła, rzucę okiem i zaraz wyjdę.

Wnętrze okazało się klimatyzowane, a przy tym dziwnie mroczne, oświetlone tylko przez wielobarwny neon reklamujący piwo, umieszczony na ścianie za kontuarem.

Clair stała przez chwilę nieruchomo, przekroczywszy próg, aby przyzwyczać oczy. Zauważyła, że podłoga usłana jest trocinami i łupinami po orzeszkach ziemnych. Klientela, przeważnie młoda, tłoczyła się przy barze i przy paru drewnianych stołach w głębi lokalu. Panował tu wielki hałas, mieszanka głośnych rozmów, muzyki wylewającej się z szafy grającej plus dźwięki telewizora, w którym pokazywano właśnie mecz bejsbolowy. Nad całością unosił się dym z papierosów i ciężkawy zapach sosu barbecue. To ostatnie uprzytomniło Clair, że jest bardzo głodna. Od lunchu w Ambiance minęło ładnych parę godzin.

Clair zaspokoila swą ciekawość. Zrobiła w tył zwrot, z zamiarem wyjścia z lokalu. I wpadła prosto w objęcia klienta, który właśnie wchodził do saloonu.

- Ups! - powiedział rosły szatyn, łapiąc Clair za ramiona.

- Bardzo przepraszam - usiłowała zrobić krok do tyłu.

Ale on ją przytrzymał.

- Laluniu, gdzie tak lecisz?

Zauważyła, że na koszulce opinającej pierś przybysza widnieje czarny napis na białym tle: „Drużyna Wściekłych Psów”.

Młody człowiek sam w sobie wyglądał nawet dość sympatycznie, Clair nie spodobało się jednak, że próbował nią sterować.

- Bardzo przepraszam - powtórzyła. - Ale właśnie wychodziłam. Proszę mnie puścić.

- Wcale się nie gniewam - zrobił do niej oko. - A jeszcze mniej się będę gniewał, kiedy wypijesz ze mną drinka.

Szarpnęła się.

- Nic z tego. Jestem umówiona. Nadal blokował przejście.

- On... poczeka - zapewnił. - Poczeka, zatęskni. Zdrowo jest potrzymać faceta na dystans.

- Ale dla ciebie coś takiego mogłoby nie być zdrowe - odezwał się wchodzący właśnie Jacob.

Członek drużyny Wściekłych Psów obejrzał się.

- Wolnego, kolego - wzruszył ramionami. - Tej pani nic się nie stało.

Nie szukasz chyba draki?

Jacob zignorował zaczepkę i ujął Clair pod łokieć.

- Chodźmy - powiedział. - Dobrze, że zauważyłem, gdzie poszłaś.

- Dobrze, że się tu zjawileś - westchnęła.

- Co ci przyszło do głowy, żeby tu zaglądać? - pytał, naciskając kłamkę. - Do takiej mordowni!

- Więc tak wyglądają mordownie? - zdziwiła się naiwnie. - Ale czekaj, dlaczego my wychodzimy? A może byśmy tu coś jednak zjedli?

- Tutaj?- Uniósł brwi.

- Dlaczego nie? - Clair rozejrzała się. - Właściwie ciekawi mnie to miejsce. Jest takie egzotyczne.

- No a ten facet i jego drużyna? - Jacob wskazał głową Wściekłego Psa i jego kompanów przy barze.

- W razie czego mnie obronisz - uśmiechnęła się.

Patrzył na nią bez słowa. Ta dziewczyna konsekwentnie szuka przygody. Zgodnie zresztą z tym, co zapowiadała.

- Stolik dla dwojga? - rozległo się tuż przy nich. Stali tak długo w drzwiach restauracji, że wreszcie wypatrzyła ich kelnerka, mata brunetka, opasana symbolicznym fartuszkiem.

Clair kiwnęła głową i od razu ruszyła za kobietą w głąb lokalu.

Do diabła, zaklął w myślach Jacob. Ale cóż było robić? Zacisnął zęby i rad nierad, depcząc łupinki po orzechach i trociny, poszedł w ślad za Clair.

Usiedli dosyć daleko od baru i zamówili pizzę z szynką i sosem barbecue, którą kelnerka nazwała specjalnością dnia.

- A co podać do picia?

- Dla mnie cola i „Black and Tan” - powiedział Jacob.

Clair bez namysłu zażądała tego samego. Kiedy kelnerka odeszła, Jacob nachylił się przez stolik.

- Czy jesteś pewna, że wiesz, co to „Black and Tan”?

- Nie wiem - przyznała. - Ale mam nadzieję, że jest to zimne i mokre. Naprawdę chce mi się pić.

Westchnął i postanowił być cierpliwy. Po chwili wjechały na stolik napoje przyniesione na tacy.



Clair ujęła z gracją swoją szklanę i uniosła ją w geście toastu. Odpowiedział jej podobnym ruchem, z zaciekawieniem czekając na ciąg dalszy.

Łyknęła jak człowiek szczerze spragniony i zamarła.

- No właśnie - pokiwał głową - takie właśnie jest to piwo. Niektórzy mówią, że dobrze, gdy się je trochę pogryzie przed połknięciem.

Mocno zacisnęła wargi. Zamknęła oczy i - połknęła.

Przydałby się aparat fotograficzny, pomyślał Jacob.

Rozejrzał się po sali. Jak na wieczór poniedziałkowy, było tu sporo ludzi... Pewnie nie mają lepszych rozrywek w tym Plug Nickel. W części barowej obłożone były dwa stoły bilardowe. A na małej estradce, teraz oświetlonej kinkietem, przygotowywał swój sprzęt ostrzyżony na zero didżej.

Kelnerka przyniosła parujące dania; towarzyszył jej nastolatek ze sztuccami, serwetkami i zestawem przypraw. Chłopiec tak się zapatrzył w Clair, że omal się nie przewrócił, nastąpiwszy sobie w pewnej chwili nogą na nogę. Clair nie zauważyła tego, zbyt zajęta „gryzieniem”, wedle podanej wskazówki, mocnego brązowego piwa.

Jacob powstrzymał uśmiech. Patrzył z przyjemnością na swą towarzyszkę. Urodziwa ta panna Beauchamp, skonstatował któryś raz z rzędu. Córka Walijki i Czirokeza, no tak... Takie mieszanki bywają szczególnie udane.

Clair odstawiła szklanę i zabrała się do pizzy. Poszedł w jej ślady, nie przerywając obserwacji. Jak ona wszystko ładnie robi, również ładnie je... I najwyraźniej rozkoszuje się tą swoją kolacją - z niewinnym uśmiechem, w którym jest erotyczna zmysłowość.

Jacob poczuł, że musi natychmiast popić, bo mu zaschło w gardle.

Odgrywa swoją niewinność, czy naprawdę jest taka? Żyła pod kloszem - a może nie? Mało prawdopodobne, aby tak piękna kobieta miała w swoim życiu tylko jednego chłopaka - Olivera Hollingswortha.

Nonsens.

Przepłukał gardło colą i postanowił skupić się na jedzeniu. Na cóż mu te rozterki!

W tym momencie popukano w mikrofon i didżej ogłosił, że zaczyna się wieczór z karaoke. Zaraz zjawił się pierwszy chętny, który do podkładu muzycznego próbował dopasować słowa przeboju Wynonny Judd Why Not Me? Niezbyt mu to szło, ale i tak Clair wpatrywała się w estradę jak zaczarowana.

- Jacob, a może ty byś spróbował? W samochodzie tak ładnie podśpiewywałś.

Rzucił jej spojrzenie, które miało znaczyć: nawet i za milion lat - nie.

Uśmiechnęła się i odsunęła swój talerz. Przez moment myślał, że zamierza sama wystąpić, ale nie, powiedziała tylko, że idzie do toalety. Patrzył, jak oddala się, kołysząc biodrami i oczywiście przyciągając spojrzenia wielu mężczyzn.

Dziobnął swoją pizzę. Dlaczego denerwują go te spojrzenia? Też coś, wcale nie denerwują. Clair nie jest przecież jego dziewczyną. A nawet gdyby była, to co? Nie jest typem zazdrośnika. Dotąd pochlebiało mu raczej, że ktoś łakomie patrzy na którąś z jego partnerek. I co, miałyby się to zmienić?

Jacob nadział na widelec kolejny kawałek pizzy.

Na estradzie niewysoki grubasek zaczął interpretować przebój Gartha Brooksa Friends in Low Places; potem jakaś dziewczyna zaprezentowała się całkiem udatnie w piosence Patsy Cline. Jacob skończył jeść, dopił też piwo i colę - a Clair wciąż nie wracała. Powiedział sobie, że mało go to obchodzi, że w gruncie rzeczy jest tym wszystkim dosyć znudzony.

Uregulował rachunek i wstał od stołu. Wolnym krokiem ruszył w stronę toalet. Cholera, może coś się tej Clair jednak przydarzyło?

Odprężył się, gdy ujrzał, że rozmawia z jakąś blondynką; opierały się obie o bar i obserwowały stoły bilardowe. Bliższy ze stołów okupowany był właśnie przez Wściekłego Psa i jego kolegów. Jacob zorientował się szybko, że Wściekły wygrywa.

Towarzyszka Clair miała na sobie krótką skórzaną spódnicę, obcisły czerwony top, twarz mocno umalowaną i wysokie obcasy. Gdy Jacob zbliżył się, pierwsza odwróciła głowę i otaksowała go wyzywająco.

- Clair... - odezwał się Jacob.

- A, to ty! Mindy - zwróciła się do blondynki - pozwól, że ci przedstawię, to jest Jacob Carver. Jacob, to Mindy Moreland. Mindy jest administratorką naszego motelu, wiesz? Poznałyśmy się przed chwilą w przedsionku toalety - uśmiechnęła się z mieszaniną zakłopotania i rozbawienia.

Jacob skinął głową.

W tym momencie przy bilardzie rozległ się wrzask. To kumple Wściekłego Psa świętowali zwycięstwo szefa. Mindy zerwała się z miejsca i rzuciła się na szyję Wściekłemu, wyciskając na jego wargach mokrego

całusa. Równocześnie łysy didżej puścił melodię z Pretty Woman Roya Orbisona i zachęcał publikę do podjęcia kolejnego wyzwania.

Jacob poczuł, że musi stąd natychmiast wyjść. Stanowczym gestem ujął Clair pod ramię.

- Ja mam dosyć - powiedział.

- A ja jeszcze bym została - usłyszał odpowiedź.

- Mówisz poważnie? Wzruszyła ramionami.

- Mindy twierdzi, że to całkiem bezpieczne miejsce. Przyrzekła mi zresztą partyjkę bilardu, zaraz po tych tam...

Zacisnął zęby.

- Do diabła. - Rozejrzał się dokoła. - To już lepiej zagraj ze mną.

- Z tobą? Świetnie! - zaśmiała się. - Ale jeśli wygram. .. - zaczęła się zastanawiać - to będziesz musiał mi coś... zaśpiewać. I ja sama wybiorę.

Popatrzył ponuro.

- Mowy nie ma. Nigdy w życiu. Uniosła brwi.

- A więc zakładasz, że mogłabym wygrać. Dosłuchał się wyzwania w jej głosie i pomyślał, że naprawdę ma dosyć tego lokalu. A ona niech tu zostanie, jeśli chce. Na Boga, w końcu jest dużą dziewczynką i wie, co robi!

Nie, nie może jej zostawić. Dlaczego? Bo czuje się... odpowiedzialny za nią. Jej bracia zapłacili za to, żeby ją znalazł, a sama Clair wynajęła go, by dowiózł ją do Wolf River, prawdopodobnie całą i zdrową.

A poza tym nigdy w życiu nie uciekał od wyzwań. Co to zresztą za wyzwanie! Ogra tę dziewczynę w parę minut. Zawstydzi ją i wtedy stąd wyjdą.

- W porządku, spróbujmy - uśmiechnął się do niej.

Rozdzielili między siebie kije, a Mindy ustawiła im w trójkącie bile. Jacob rozważał przez chwilę, czy by nie dać Clair fory, paru ekstra zagrań - aby jej klęska była tym jaskrawsza. I zaraz porzucił tę myśl, bo wydała mu się zbyt przewrotna.

- No, to do dzieła - powiedział. I przymierzył się do pierwszego uderzenia. Bile rozbiegły się po stole; do luz trafiły dwie. Mało, ocenił.

Clair od razu na otwarcie przebiła go trzema punktami.

Mindy rzuciła jej się na szyję, a Jacob uznał, że trafiło się ślepej kurze ziarno.

Wzruszył ramionami. Z większą starannością pochylił się nad stołem, ale wciąż jeszcze w trybie zabawowym. I przegrał kolejną rundę.

Dokoła stołu zaczął się gromadzić tłumek gapiów.

Również w trzecim podejściu zwyciężyła Clair.

Jacob wsparł się na kiju i spróbował zebrać myśli. Nie, to już nie może być przypadek. Ta niewinna panienska musiała brać lekcje gry.

Publiczność chichotała; trącano się łokciami i całkiem otwarcie powątpiewano w kwalifikacje Jacoba.

Jeszcze dwie rundy - i było po partii. Mindy znów rzuciła się na szyję Clair; wśród podziwiających wygraną tej ostatniej nie zabrakło Wściekłego Psa, który przybił zwyciężczyni „piątkę”.

Jacob ocierał zroszone potem czoło. Było mu okropnie gorąco mimo działającej w barze klimatyzacji. Na wszelki wypadek postanowił zachować się sportowo. Odłożył kij, okrążył stół bilardowy i przyłączył się do aplauzu zebranych.

- Brawo - powiedział. - Nie był to twój pierwszy bilard w życiu, prawda?

- Pierwszy - uśmiechnęła się do niego. - Sporo grywałam jednak z tatą w snookera\*. Ojciec był w tym wyjątkowo dobry.

- Ojciec był dobry, ach tak... I co, teraz chyba już pójdziemy?

Zawahała się.

- A nasz zakład? Chyba się nie wycofasz?

I zanim zdążył zareagować, ujęła jego wyciągniętą dłoń i ruszyła, prowadząc go za sobą ku estradzie, na której wciąż pełnił swą powinność łysy didżej.

Nie puszczając Jacoba, sięgnęła po wyłożoną listę karaoke. Dylan, Sinatra, Manilow - tego nie cierpiała - Morrison, Stewart, Presley.

Bingo.

Didżej wręczył Jacobowi tekst i nastawił płytę. Gestem zaprosił do mikrofonu.

Clair cofnęła się, zajmując miejsce wśród zgromadzonych wokół estrady słuchaczy. Trochę jej było żal prywatnego detektywa... Ale on jakoś wszedł w swoją nową rolę. Najwyraźniej nie lubił cofać się przed wyzwaniem. Przyjął nawet kufel z piwem, podany przez Wściekłego Psa. Łyknął, zwrócił kufel i wstąpił na podest.

Zabrzmiały pierwsze takty muzyki. Kiedy Jacob aktorskim gestem odrzucił kosmyk włosów z czoła i zakreślił biodrami, żeńska część widowni zupełnie oszalała.

Love Me Tender...\*\*.

\* *Snooker - gra podobna do bilardu, z użyciem 21 kul ustawianych w piramidkę (przyp. tłum*

*\*\* Love Me Tender - „Kochaj mnie czule”, pierwsze słowa słynnego przeboju Elvisa Presleya (1935-1977). Zarazem tytuł kultowego filmu, w którym Presley zagrał główną rolę (przyp. tłum.).*

RS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Clair obudziła się rano z melodyjką Jailhouse Rock rozbrzmiewającą w jej głowie. Po Love Me Tender tłum zażądał wczoraj następnych przebojów Presleya. Jacob robił wszystko, żeby się wykrcić, ale został przegłosowany. Na koniec wykonał posłusznie Fever, z towarzyszeniem samego kontrabasu.

Schodził z estrady wśród owacji. Przybił mu „piątkę” nawet Wściekły Pies, który przedstawił się jako David i okazał się całkiem miłym facetem. Nie zabrakło też uścisków Mindy Moreland - co Clair przyjęła z mieszanymi uczuciami.

Ogólnie wieczór był udany. Clair nie pamiętała, kiedy ostatnio tak szczerze się śmiała. Samo przypomnienie tamtych chwil wywoływało teraz uśmiech na jej ustach. Odprężyła się, nie musiała zważać na konwenanse, mogła być naturalna.

Westchnęła. Owszem, było wesoło, ale jednak nie czuła się w tym lokalu swobodnie. Właściwie nie знаła takiego miejsca, w którym mogłaby się poczuć jak u siebie.

Wszędzie czegoś brakuje... Czegoś trudno uchwytnego... Niewyraźnego, jak zapach uniesiony przez wiatr, jak sen, zapominany zaraz po obudzeniu.

Na ostatnim roku studiów odbyła kurs psychologii i wiedziała, że ludzka podświadomość przechowuje wiele informacji nie docierających do świadomości. Warto by może odwiedzić terapeutę i wraz z nim popracować nad odkryciem własnej duszy.



Westchnęła znowu, zamknęła oczy i spróbowała się skupić na tym, przy czym nigdy w myślach nie zatrzymywała się na dłużej. Co tkwi w niej na przykład z najwcześniejszego dzieciństwa?

Zapach... Zapach i jakaś tęsknota. I spojrzenie błękitnych oczu. Twarz pochylająca się nad nią. Czy to wspomnienie matki, Nory Blackhawk? Blask słońca. Jakiś gwar. Różowe obłoczki. Tłum ludzi. Dwaj mali chłopcy, biegający w kółko.

Clair potarła powieki. Obraz zamglił się, oddalił. Ba, ale czy to wszystko nie jest kreacją na zamówienie? Czy owo prawspomnienie, które nosi w sobie, jest rzeczywiste?

Postanowiła wstać. Ręce jej drżały, gdy wkładała sukienkę.

Kiedy Jacob usłyszał pukanie Clair do drzwi łączących dwa pokoje, naciągnął poduszkę na głowę. Co ta kobieta wyrabia? Czy co dzień zamierza wstawać o bladym świcie?

- Ja chcę spać! - krzyknął. Usłyszał, że jednak drzwi się otwierają.

- Jacob, przepraszam - głos Clair wydawał się napięty. - Ale coś mi się przypomniało...

Spojrzał na nią jednym okiem.

- Budzisz mnie tylko dlatego, że coś ci się przypomniało? - Z jękiem obrócił się i opadł na wznak. Po chwili zerknął ku niej. Najwyraźniej zaczyna się ten sam seans kuszenia, co wczoraj. Ciekawe, co będzie dalej.

- To dotyczy mojej rodziny - Clair stanęła przy łóżku - mojej prawdziwej rodziny.

- Prawdziwej... - Uniósł się na łokciach. - Nie mylisz się? Miałaś dwa latka, gdy...

- To tylko taki zarys - przerwała mu. - Niepełny obraz.

Jacob usiadł i przyczesał sobie ręką włosy.

- Wiesz, Clair, wyobraźnia płata nam figle...

- Ale mnie się zdaje, że to nie wyobraźnia. - Clair przysiadła w nogach łóżka. - Teraz rano próbowałam się zagłębić w różne najdawniejsze obrazy... I byłam jakby na otwartej przestrzeni, dzień był słoneczny, różowe obłoczki, dużo ludzi dokoła, kobieta o błękitnych oczach, dwaj mali chłopcy...

Jacob zastanowił się. Różowe obłoczki? Zaraz, zaraz...

Rand i Seth Blackhawkowie opowiadali mu coś o różowej wacie cukrowej, którą zafundowali im rodzice w dzień wypadku. Zgadzałby się też ten słoneczny dzień, otwarta przestrzeń, tłum... Bracia podali mu wiele szczegółów dotyczących tego, co sami pamiętali sprzed lat. Zarazem prosili, aby nic na razie nie przekazywać Elizabeth, żeby się nie sugerowała.

Skoro Clair-Elizabeth jest jednak na właściwym tropie - czemu by jej nie pomóc?

- Zdaje się, że naprawdę coś pamiętasz. - Spojrzał na nią. - W dzień wypadku mama zafundowała waszej trójce różową watę na patyku.

Clair zmarszczyła czoło.

- Ach, i to są te obłoczki...

- Byliście na jarmarku... I stąd tłum.

- No a Rand i Seth? - dopytywała. - Czy to są ich prawdziwe imiona? Czy też mieli zmienione, jak ja?

- Nie, imiona zostały zachowane. Obu chłopcom przydano tylko nowe nazwiska - ich przybranych rodzin.

- I jak się teraz nazywają?

- Rand Sloan i Seth Granger.

Clair opuściła głowę. Po chwili Jacob usłyszał pociąganie nosem.

- Co się stało? - Pochylił się ku niej. - Dlaczego płaczesz?

- Aa...! - Otarła oczy wierzchem dłoni. - Martwię się. Co będzie, jeśli oni mnie nie polubią?

- Kto, bracia?

- Może nie będę do nich pasowała? Kim oni właściwie są? Nic mi jeszcze o nich nie opowiadałeś.

Ujął ją za rękę.

- Wszystko w swoim czasie.

Spojrzała na niego z bliska. A spojrzała tak ładnie i bezradnie, że poczuł w sercu czułość. I wcale nie było mu z tym dobrze, bo twardej faceci wykonujący trudny zawód nie lubią się rozczulać.

Do licha, najlepiej byłoby się z nią natychmiast przespać, pomyślał. Nie musi jej nawet brać do łóżka, bo ona w nim już jest.

To nie w moim stylu, pomyślał i zacisnął zęby. Nie będę wykorzystywał czyjejś słabości. Puścił rękę Clair.

- Nie martw się - powiedział. - Równie dobrze mogłabyś się zastanawiać, czy oni się tobie spodobają. Ale to wszystko nigdzie nie prowadzi. Rodziny się nie wybiera.

Poruszyła brwiami.

- Niby racja.

- No a teraz - Jacob opuścił nogi na podłogę - skoro mnie już tak rozbudziłaś... i pobudziłaś - postarał się o szelmowski uśmiech - lepiej ruszajmy w drogę. - Wstał, okręcając wokół siebie prześcieradło. - Droga na pewno poprowadzi nas w dobrą stronę. A...

- A co?

- Nic - wzruszył ramionami. - No, to ja idę teraz wziąć prysznic, pa.

- Dobra myśl - pomachała mu ręką. - Ja też może wezmę... zimny?

W niecałą godzinę później, gdy Jacob płacił w recepcji motelu, Clair żegnała się na parkingu z Mindy. Administratorka wyglądała dziś całkiem zwyczajnie i przystępnie. Zmyła z twarzy ostry makijaż, miała buty na płaskim obcasie i skromny strój.

- Zadzwoń jak najszybciej - zwróciła się do Clair. - Chciałabym pierwsza wiedzieć, jaki jest dalszy ciąg twojej historii.

- Trochę jestem zdenerwowana z powodu braci - powiedziała Clair. - Ale również i podekscytowana.

Mindy uśmiechnęła się.

- Mnie nie chodzi o twoich braci, chociaż i to jest ciekawe. Ja chcę wiedzieć, co będzie z tobą i Jacobem.

- Ze mną i Jacobem? - Clair poczuła się jak przyłapana na czymś. - Między nami nic nie ma i nie będzie.

- Może jeszcze nic nie ma - Mindy zachichotała. - Ale jak znam życie - na pewno będzie.

- Mindy! Co ty wygadujesz? Łączy mnie z nim tylko interes. Jacob pracuje dla mnie.

- Siebie oszukujesz czy mnie? - Panna Moreland skrzywiła się. - Już ja wiem, kiedy między mężczyzną i kobietą przeskakuje iskra, a kiedy nie.

Clair spojrzała w stronę recepcji, gdzie Jacob chował właśnie portfel do kieszeni. Wczoraj niby się całowali, to prawda. Dziś byli razem w łóżku i mało brakowało... Ale...

- Nie, nie - pokręciła głową. - On się tylko mną opiekuje. Jestem rodzajem przesyłki, którą ma dostarczyć na miejsce w stanie nienaruszonym. Jedną z takich, co mają na sobie nalepkę „Ostrożnie”.

- Wobec tego przepakuj się, skarbie, i zmień sobie etykietkę - doradziła Mindy. - Pokaż mu, że nie stłuczesz się tak łatwo.

Clair zaśmiała się na ten pomysł, obserwując zarazem, jak Jacob wychodzi z motelu, wkłada ciemne okulary i kieruje się w ich stronę.

- Kurczę... - zamruczała Mindy. - Przystojniak z tego Carvera. Na twoim miejscu... - urwała.

Clair znowu przypomniały się wykłady z psychologii na ostatnim roku studiów. Mówiono tam między innymi o „pożądaniu trójkątnym”. Kiedy ktoś nam czegoś zazdrości, zaczynamy to cenić wyżej. Rzuciła okiem na zbliżającego się Jacoba. Rzeczywiście, wyjątkowo piękny mężczyzna...

- No jak, jedziemy? - Zatrzymał się przed nimi i zadzwonił kluczykami od wozu.

- Jedźcie - odezwała się Mindy. - Szerokiej drogi. Wymieniono ostatnie uściski i już po chwili Jacob i Clair pędzili w stronę autostrady między stanowej, zostawiając miasteczko Plug Nickel za sobą.

- Jakie mamy dalsze plany, panno Beauchamp? - Sięgnął do schowka i wyciągnął mapę. - Tu jesteśmy. A gdzie dziś poszukamy przygody: w Raccoon, w Rainbow, Yazoo, Picayune?

Clair pochyliła się. Zrobiła palcami kilka kroczków po papierze, przekraczając granice Georgii. Uśmiechnęła się.

- Co byś powiedział na Liberty w Luizjanie? Jedźmy do Liberty, Jacob.

- Płyn chłodzący cieknie panu z pompy. Musiała pęknąć uszczelka. - Pracownik przydrożnej stacji benzynowej zaglądał pod maskę samochodu Jacoba. -Szczęście, że silnik się nie zatarł.

- Cholera. - Jacob rzucił okiem na zegarek. - No, ale da się to tutaj na miejscu naprawić?

Oboje z Clair byli już dosyć głodni. Nastawili się na lunch w Liberty. Pół godziny temu minęło południe; od celu podróży dzieliło ich pięć mil. Przed chwilą zaczęło im dymić pod maską, zapewne wskutek tego nieludzkiego upału.

- Uszczelki to ja mam - pracownik wytarł ręce w szmatę - ale...

- Ale co?

- Do roboty mogę się zabrać dopiero wtedy, jak wróci Gordon, mój pomocnik. Trzeba wymontować pompę, podnieść silnik...

- A gdybym to ja panu pomógł? Znam się trochę na tej robocie.

Odell, starszy już człowiek, poskrobał się w głowę.

- No dobrze, spróbujmy. - Rozejrzał się. - W takim razie skocz do mego kantoru i poproś najpierw Tinę o jakiś kombinezon.

Jacob skinął głową. Potem nachylił się do wnętrza auta.

- Clair, mamy awarię, jak słyszałaś. Będę musiał pobawić się trochę w mechanika. - Pomachał jej ręką i ruszył w stronę budynku.

Wewnątrz, za ladą małego działu spożywczo-technicznego, zastał zaskakująco ładną trzydziestolatkę -tak ją na oko ocenił. Nudziła się, kartkując jakąś gazetkę. Cała była na czerwono; miała krótkie, ogniste włosy, długie karminowe paznokcie, mocno umalowane usta i opiętą koszulkę z dekoltem, także czerwoną.

- Tina? - zapytał. Przyjrzała mu się.

- Zgadłeś, kotku. A czego sobie życzysz?

- Odell powiedział, że dostanę tutaj kombinezon. Uniosła brwi, z mieszaniną niedowierzania i nadziei.

- Będziesz u nas pracował?

- Tylko przez chwilę. Mam pomóc przy własnym samochodzie.

- Szkoda. - Oparła łokcie o ladę i pochyliła się ku przodowi, z kuszącym uśmiechem. - Ale poza tym... to nie w porządku, że ty znasz moje imię, a ja nie znam twojego.

- Jacob - przedstawił się, doceniając z bliska piękny zarys biustu, podsuniętego mu do podziwiania. - Jacob Carver.

- Tina Holland. - Po chwili wstała i kołysząc biodrami oddaliła się na zaplecze. Wychyliła się przez drzwi. - Jaki jest twój rozmiar, L czy XL?

Jacob zauważył, że ona patrzy jakby na zapięcie jego spodni.

Odchrząknął.

- XL.

- No jasne - uśmiechnęła się. Po chwili wyszła, niosąc nowe drelichy.

- A... jak właściwie z tobą jest? Przejeżdżasz tylko przez Liberty, czy zatrzymasz się na dłużej i moglibyśmy... - Urwała, bo w drzwiach kantoru stanęła Clair.

- Dzień dobry.

Jacob odwrócił się. Obrzucił pełnym podziwu spojrzeniem swoją pasażerkę: mimo upału i wielogodzinnej jazdy wyglądała świeżo. Ta dziewczyna ma klasę, pomyślał.

- Clair - uśmiechnął się. - Poznaj Tinę. Tinę Holland.

Po czym zwrócił się do sprzedawczyni.

- A to Clair Beauchamp.

Obie panie skinęły głowami.

- Wkładam kombinezon - mówił dalej do Clair - bo robota przy aucie będzie raczej brudna. A ty może w tym czasie zjesz sobie jakąś kanapkę? Macie tu kanapki, prawda? - rzucił przez ramię.

Po chwili zgarnął swe drelichy i wyszedł.

Clair wyczuła, że między Jacobem i Tiną coś było, flirt, który przerwała. A więc jemu podobają się takie kobiety - obrzuciła spojrzeniem czerwono włosów. Na Mindy w Plug Nickel też łakomie spoglądał. Cóż, może warto by wyciągnąć z tego jakiś wniosek? Jak to Mindy doradzała? „Przepakuj się i zmień nalepkę...”

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytała Tina. Clair zamrugła i uśmiechnęła się.

- Tak. Myślę, że tak.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Spóźniała się. Po raz dziesiąty w ciągu dwudziestu minut Jacob popatrzył na zegarek. Była już prawie siódma. Clair zostawiła mu w recepcji motelu wiadomość, że będzie o szóstej trzydzieści w „Pink Steak House”.

No i dlaczego, u diabła, jej nie ma?!

Nie chodzi o to, żeby się o nią martwił. Liberty wyglądało na spokojne, dobrze strzeżone miasteczko. Jacob widział tego popołudnia kilka wozów patrolowych, przemykających ulicami. A ponieważ Clair napisała na karteczce, że „ma coś do załatwienia w pobliżu”, naprawdę nie było powodu, aby się przejmować.

Inna rzecz, że Clair ma zdaje się szczególny talent do wplątywania się w przygody...

No tak, ale pół godziny spóźnienia to mimo wszystko przesada. „Punktualność jest uprzejmością królów i obowiązkiem zwykłych ludzi” - mówi przysłowie.

Jacob skinał na kelnerkę.

- Jeszcze jedno piwo proszę.

Bębniąc palcami o blat stolika, rozejrzał się po lokalu. Nawet sympatycznie tu, pomyślał. Działa klimatyzacja. W wazonikach stoją żywe róże.

Zaplótnął ręce za głowę i przeciągnął się. Dobrze mu zrobiła drzemka i prysznic. Sama praca fizyczna też była przyjemna. Dawno już nie miał okazji pogrzebać w swym wozie, a miał żyłkę majsterkowicza.

Właściwie nie wiadomo, czy się odpreżył: ledwie bowiem przyłożył głowę do poduszki, opadły go wizje erotyczne. Królowała w nich Clair. I bardzo męczył się, zanim zasnął.

Wróciła kelnerka z piwem. Pomału celebrowała wymianę tekturowej podstawki i szklanki, rzucając na Jacoba powłóczyście spojrzenia.

Kiedy odeszła, poczuł, że jest spocony. Ta dziewczyna wyraźnie czekała na jakiś znak z jego strony. I w normalnej sytuacji doczekałaby się. Westchnął. Dookoła tyle ładnych kobiet, a on czuje się sparaliżowany przez Clair. Dlaczego? Czy to kwestia ich stosunku „służbowego”, czy jakiegoś innego? Ale jakiego?

Pociągnął łyk piwa i omal się nie zakrztusił, widząc, kto przekracza próg restauracji. Była to właśnie Clair, lecz jakże odmieniona!

Miała na sobie czarną, obcisłą spódnicę midi z rozcięciem do pół uda. Poszła więc na zakupy; oczywiście zrobiła użytek z jego karty kredytowej. Tej, którą pożyczył jej na chwilę na stacji benzynowej... No a obcasy? Dobry Boże, zdaje się, że Mindy miała podobne. Usta pomalowała sobie jak Tina, tym samym błyszczkiem i w podobnym odcieniu. Prowokacyjny dół zestawiała z nie mniej wyzywającą górą - prześwitującą bluzką, pod którą kołysały się piersi. Na to narzuciła luźny żakiet w kolorze starego burgunda. A fryzura? Gdzie się podziały proste włosy? Twarz Clair okalały zabójcze loczki - dziesiątki sprężynek, i w dodatku potraktowanych żelem.

Jacob zauważył, że wszystkie męskie głowy w „Pink Steak House” obróciły się ku tej zjawie, zmierzającej w jego stronę.

Poczuł się nieswojo. Co ta dziewczyna chce właściwie osiągnąć? A może dopadło ją chwilowe szaleństwo?

Zacisnął zęby. Tymczasem Clair, kołysząc biodrami, kończyła defiladę i zgrabnie zajęła miejsce na krześle, które jej podsunął.

- Cześć - odezwała się, odgarniając końcami palców loczki z czoła.

Cześć? Przymrużył oczy. Ona tu wkracza przebrana za jakiś fetysz miłości i tak sobie po prostu mówi „cześć”?

Pociągnął nosem. O, jest także silnie uperfumowana

- egzotycznie i uwodzicielsko.

- Przepraszam za spóźnienie - uśmiechnęła się do niego. - Poszłam kupić parę rzeczy, ale po drodze przyszło mi do głowy, że zajrzę również do salonu fryzjerskiego. No i suszenie - znów dotknęła swych loków - zajęło trochę czasu... A jak ci się podoba? - Obróciła głowę profilem.

Jacob nie wiedział, co powiedzieć. Bogini miłości nie mogła na niego nie podziałać.

- Dobry wieczór państwu - rozległ się tuż przy nich męski głos. Niewysoki blondyn, z serwetką przewieszoną przez lewe ramię i z jadłospisem pod pachą wpatrywał się w rowek między piersiami Clair. – Nazywam się George i będę państwa obsługiwał dziś wieczorem. Co mogę podać do picia?

- Witaj, George. - Clair ściągnęła usta. - Dla mnie może kieliszek wina?

- Mamy stołowe chardonnay; polecam. - George otwarł swoje menu. Przewrócił kartkę i pokiwał głową. - A może woli pani chilijskiego pinota z 1995 roku? Jest lekki i orzeźwiający.

Spadaj, frajerze, rzucił w myślach Jacob. Nie spodobał mu się ten blondas.

- Czy ja wiem... - zawahała się Clair. - Wolałabym coś...  
mocniejszego. O pełniejszym bukecie.

George wpatrywał się teraz intensywnie w jej usta. Zamrugał oczami i przełknął. Clair uśmiechnęła się promiennie.

- Może pan nam coś wybierze? Kelner skłonił się z galanterią.

- Nie omieszkam, dziękuję za zaufanie. George odszedł.

- Zaskoczyłaś mnie - sapnął Jacob, taksując Clair spojrzeniem od stóp do głów. - Czy to jest jedno z tych twoich przedsięwzięć w ramach „planu bez planu”?

- O, właśnie - zgodziła się chętnie. I... - nie dokończyła, bo już wracał kelner z winem.

George zaczął celebrować swą czynność, ale ugodzony spojrzeniem Jacoba, szybko zwinął żagle.

- A co będziemy jedli? - Clair umoczyła usta w kieliszku, zaglądając równocześnie do karty dań.

Jedli... Ciebie bym zjadł, szeptał w myślach Jacob. Boże, ależ to śliczna kobieta!

- Co, nie jesteś głodny? - Clair opacznie odczytała jego gest.

Wzruszył ramionami.

- Jestem. Nawet bardzo...

Uniosła brwi.

- Mówisz zagadkami.

- Bo czuję się zagadkowo, kiedy tak na ciebie patrzę. Przyjrzała mu się uważniej. Zdaje się, że nie zrobiła na swym aniele stróżu takiego wrażenia, o które jej chodziło... Czyżby się „przepakowała”, jak to ujęła Mindy, nie trafiając w jego gust?

Pojawił się znów kelner i odebrał zamówienia. Potem Jacob przeprosił i poszedł do toalety.

Clair wyciągnęła z torebki lusterko. Co mu się we mnie nie podoba? - myślała. Starła się jak mogła; wciąż jeszcze drżała z napięcia. Jej nowa fryzura i makijaż były dla niej krępujące; a cóż dopiero ta prześwitująca bluzka pod żakietem i spódnica z rozcięciem prawie do pasa! Nigdy nie była bardziej wdzięczna rodzicom za naukę panowania nad sobą i robienia dobrej miny do złej gry niż przez kilka ostatnich godzin.

Tina ze stacji benzynowej zarekomendowała jej salon o wdzięcznej nazwie „Od Stóp Do Główn”, gdzie Clair powiedziała Bridgette, fryzjerce, że chciałaby mieć na głowie coś przyciągającego uwagę mężczyzn.

Bridgette wzięła się do roboty ze szczerym zapałem - i oto skutki. Przy okazji Clair zaobserwowała parę różnic między fryzjerniami w Charleston i tą w Liberty. Ulubionym salonem matki był „Jean-Luc” - miejsce nad wyraz subtelne, gdzie klientkom serwowano mrożoną herbatę miętową, ewentualnie perry, plus cichutkiego Bacha albo Beethovena dla ducha. No, a tutejszy lokal „Od Stóp Do Główn” rozbrzmiewał głośną muzyką country, buczeniem starych suszarek oraz nieskrepowanym plotkarstwem... Wskutek tego Clair w krótkim czasie dowiedziała się na przykład o kilkunastu miejscowych aferach, sześciu rozwodach i czterech niespodziewanych zajściach w ciąży - w tym jednym z domniemaniem gwałtu.

I tak przeleciało popołudnie... Clair ostrzyżono, wyondulowano, jej paznokcie wypolerowano i ukarminowano. Powieki zyskały srebrzysty odcień. Potem Suzie, właścicielka butiku sąsiadującego z salonem fryzjerskim, przyniosła kilka sztuk garderoby, harmonizującej jej zdaniem

z tym, co już osiągnięto na twarzy i na głowie Clair. Autorytatywnie stwierdziła, że mężczyźni zniewalają prześwitujące materie, kuszące rozcięcia, no i obcasy.

Efekt końcowy miał być gwarantowany.

Dlaczego nie jest? - zastanawiała się teraz Clair. Do licha, może Jacobowi coś nie tak poszło z samochodem? Albo rozzłościło go jej spóźnienie? Albo gniewa się, że bez pytania zrobiła intensywny użytek z jego karty kredytowej? Muszę być dla niego bardzo miła, postanowiła.

Pojawił się właśnie między stolikami, a niemal równocześnie pokazał się też George, niosący zamówione dania.

Kiedy kelner odszedł, Jacob bez słowa zaatakował sztuczkami obiad. Clair uśmiechnęła się, spróbowała swego kurczaka i powiedziała:

- Jest bardzo delikatny. Może też chciałbyś spróbować?

Jacob znieruchomiał, z kęsem pieczeni w ustach.

- Nie, dziękuję - powiedział niewyraźnie.

- Jesteś pewien? - Clair nadziała kawałek białego mięsa i podsunęła mu do obejrzenia. - Nie wiesz, co tracisz.

- No dobrze - zgodził się. - Spróbuję. Ostrożnie włożyła mu widelec do ust. Przyszło jej do głowy, że to bardzo intymny gest i że on powinien go należycie odczytać.

- No i jak? - dopytywała się, zaglądając Jacobowi w oczy.

- Niczego sobie. - Pożuł chwilę. - Niezłe.

- Tylko niezłe? - Pochyliła się w jego stronę. - I nic więcej?

Jak zahipnotyzowany, skupił wzrok na prześwitującym spod jej bluzki biuście.

- Mmm...

Cofnęła się i westchnęła. To wciąż jeszcze nie jest entuzjazm. Szkoda. Co miała zrobić, by wykrzesać z niego trochę ognia? Rozebrać się tutaj do naga i wskoczyć na stół?

Cholera, a może by wskoczyć? Zerknęła na Jacoba.

Całe życie musiała się powściągać, bo tak ją wychowywano. Starła się dopasować do innych, nigdy do siebie. Do matki, ojca, do Olivera.

A teraz... do Jacoba?

Poczuła się zniechęcona. Odsunęła talerz.

- Dziękuję za obiad - zdobyła się na uśmiech. -I nie gniewaj się, ale jestem trochę zmęczona i chyba pójdę już do motelu.

Spojrzał z niedowierzaniem. Sięgnął po serwetkę i wytarł usta. Chciał coś powiedzieć, lecz ona go ubiegła.

- Ty zostań, nie spiesz się. Trafię do domu, to przecież tylko parę kroków... Od razu się położę. A więc... do zobaczenia jutro rano?

- Ale... - Jacob zaczął odsuwać krzesło.

- Nie, nie, siedź - powstrzymała go gestem dłoni. - Naprawdę dam sobie radę.

Po tych słowach wstała i ruszyła do wyjścia. I od razu poczuła ulgę. Wróci do pokoju i będzie mogła zdjąć z siebie całe to przebranie...

Przebranie nieskuteczne, jak się okazało. Mówi się trudno...

Była przy drzwiach, gdy usłyszała, że ktoś ją woła po imieniu. Obejrzała się i zauważyła Bridgette, która dawała jej znaki z bocznej sali. Dziewczyna była w otoczeniu grupy przyjaciół.

Czemu nie? - przemknęło jej przez głowę. Można wrócić do motelu, wskoczyć w piżamę i usiąść przed telewizorem - albo też zaryzykować wieczór w klubie w Liberty. Clair wybrała oczywiście to drugie.

Uśmiechając się, pomachała ręką Bridgette i ruszyła w jej stronę.  
Gdzież ona, u diabła, jest?

Jacob zajrzał do pokoju Clair. Potem wrócił do swojego pokoju.  
Odczekał. I jeszcze raz zajrzał do niej.

Otworzył okno i wyjrzał. Nie, nigdzie jej nie widać.

Niemożliwe, żeby pomyliła drogę; restauracja jest naprawdę blisko,  
przy tej samej ulicy, w odległości trzy-minutowego spaceru.

Spojrzał na zegarek i zacisnął szczęki. Powiedziała, że jest zmęczona  
i że się położy. Powinna była przyjść przed nim, to logiczne. Niech to  
cholera. A jeśli ktoś ją zaczepił, zaciągnął gdzieś? Wyglądała  
prowokująco...

Jeszcze raz wychylił się przez okno. Uważnie zlustrował parking  
motelowy. Nie, tu jej także nie ma.

Co robić? Zmarszczył czoło.

Zdaje się, że popsuł jej humor tą rezerwą okazaną nagłej  
metamorfozie... Chciała się zrobić na bóstwo - ale dla kogo?

O! To jest pytanie. Dla kogo? - i dlaczego właśnie w Liberty? Czy  
Clair Beauchamp zna tu kogoś?

Westchnął i ujął słuchawkę telefonu. Może zostawiła jakąś  
wiadomość w recepcji?

Nagle uderzył się otwartą dłonią w czoło.

- No jasne! Ależ ze mnie idiota - powiedział głośno. I już był w  
drzwiach - z zamiarem szybkiego powrotu do „Pink Steak House”.  
Zatrzymał się jednak.

Może ona nie życzyłaby sobie, żebym tam przyszedł?

- .. I dzieciak mówi: „Nic nie szkodzi. Hillary wzięła mój plecak”.



Tłumek wybuchnął śmiechem na ten żart Bridgette, Clair śmiała się również. Przez ostatni kwadrans wszyscy opowiadali wyłącznie kawały. Grupa koleżeńska, początkowo mała, zdążyła podwoić swój skład.

Clair milczała, lecz i tak czuła, że jest ośrodkiem zainteresowania, w każdym razie męskiej części zgromadzenia. Młodszy i starsi panowie wciąż zerkali ku niej. A więc recepta Mindy nie była całkiem bezsensowna, szkoda tylko, że jakoś nie poskutkowała w odniesieniu do Jacoba.

Podczas gdy narzeczony Bridgette, Pete, zaczął opowiadać dowcip o dwóch facetach, którzy poszli razem spać do jednej stodoły, Clair zdecydowała się wreszcie spróbować trunku, który Bridgette uparła się jej postawić. Nie miała nigdy dotąd okazji pić mieszanki likieru kawowego i wódki; w ogóle rzadko używała alkoholu. Jej rodzice i Oliver ograniczali się do martini.

A czemu się trochę dziś nie wstawić, pomyślała? Rozweseli się, przestanie tyle myśleć o Jacobie... Zauważyła, że na podium z boku rozstawia swe instrumenty zespół muzyczny. O, będzie więc można także potańczyć; bardzo dobrze.

Umoczyła usta w szklance i wzdrygnęła się. Koktajl był mocny, przy tym bury w kolorze. Wydał jej się zdradliwy. Odsunęła go.

- .. I ten facet mówi: - kontynuował Pete - „Nic się nie martw. Ona nie żyje, i mało tego, bo zostawiła mi w spadku milion dolarów”.

Słuchacze pokładali się ze śmiechu; niektórzy bili brawo. Równocześnie zachrobotał mikrofon i lider zespołu ogłosił, że występ rozpocznie się już za moment. Steve, brat Pete'a, przysunął się do Clair i zaproponował, że jej przyniesie innego drinka. Pokręciła głową. Grzecznie podziękowała sympatycznemu szefowi strażaków z Liberty. Lepiej, żeby

sobie nie robił zbytecznych nadziei. Tak czy owak, Clair zamierzała bowiem wrócić dziś do motelu sama.

- Ty, popatrz! - Dwie blondynki spoglądały ku drzwiom. - Jaki przystojniak!

Clair spojrzała tam gdzie one i zobaczyła Jacoba. Stał w progu sali klubowej i rozglądał się, jakby kogoś szukał.

Mocniej zabiło jej serce. Czyżby to jej szukał? A może przyszedł tu, żeby poderwać jakąś dziewczynę?

A niech to. Zresztą, wszystko jedno. Czy cały świat ma się obracać wokół pewnego prywatnego detektywa z New Jersey? Clair odwróciła głowę i wsunęła się głębiej w fotel. Niech się dzieje, co chce.

- On idzie w naszą stronę! - szeptały podniecone blondynki. - W razie czego ja go biorę! - zastrzegła ta, która go zauważyła pierwsza.

- Clair! - Jacob nie dał się zwieść kamuflażowi w głębokim fotelu. - Jak dobrze, że cię znalazłem.

Powiedział to wystarczająco głośno, aby wszyscy go mogli usłyszeć. Wiele par oczu spojrzało z zaciekawieniem.

- Kochanie, tak się martwiłem! - Obszedł fotel dookoła. Ujął Clair za ramiona i przyciągnął do siebie. - Mały Jake cały czas pyta, gdzie jest mamusia.

Mały Jake? Co on wymyślił? Szarpnęła się, ale uchwyt był silny. Chciała zaprotestować, lecz on ją pocałował i w ten sposób zamknął jej usta.

- Hej, kim pan jest?! - Steve podniósł się od stolika i postukał Jacoba w plecy.

- Jestem jej mężem.

- Aha... - Steve łatwo dał za wygraną. Zbliżyła się Bridgette.

- Clair, to ty masz męża? Nic mi o tym nie mówiłaś.

- Oczywiście, że ma - rzucił Jacob. - Moje biedactwo. .. - Pochylił się nad Clair. - To kłopotliwa sprawa - spojrzał ku zebrany. - Żona cierpi na myopsia infarction\* i właśnie jesteśmy w drodze do kliniki w Teksasie, aby ją podleczyć. Kiedy nie bierze swoich pigułek, cierpi na zaniki pamięci.

A to łotr! Clair poderwała się.

- Jak możesz!

- Ćśśś. - Położył palec na ustach. - Już dobrze. Już wszystko dobrze.

Dwie blondynki wymieniły ze sobą pełne współczucia spojrzenia.

Przy jednym z dalszych stolików ktoś zrobił nawet palcem kółko na czole.

Jacob znów objął ramieniem Clair.

- Chodźmy - powiedział. - Przepraszamy państwa

- rozejrzał się na lewo i prawo.

Clair, oniemiała z oburzenia, nagle odzyskała głos.

- Ach, tak! - wykrzyknęła, przewracając oczami. - Teraz sobie przypominam! To jest rzeczywiście mój mąż! - Przystanąła. - I to przez niego tak zachorowałam... Wiesz, Bridgette...? To było wtedy, kiedy eksplodowała ta jego stacja unasienniania. Bo on przechowywał tam również ognie sztuczne.

- Clair, na miłość boską... - Spłoszony Jacob ciągnął ją do drzwi.

- On zresztą też nielecho ucierpiał - pokiwała głową. - Ma jedno szklane oko i spaloną skórę na plecach.

*\* Myopsia infarction - zmyślony termin medyczny. Najbliższe sensy wiązałyby się z krótkowzrocznością (myopia) oraz zawałem (infarct). (Przyp. tłum.)*

Dalszy ciąg perory Clair został zagłuszony przez zespół muzyczny.

Clair i Jacob wyszli. Owiało ich chłodne powietrze wieczoru. Przez otwarte okna „Pink Steak House” dolatywały zapachy smażeniny oraz przytłumione dźwięki Samby pa ti Carlosa Santany, przeboju, od którego zacząć się miał widać dzisiejszy dancing.

Clair przystanąła.

- Masz fantazję, muszę przyznać - zachichotała. - Byłam wściekła, ale już mi prawie przeszło.

- Ty też masz fantazję. - Objął ją mocniej.

- Naprawdę się o mnie niepokoiłeś?

- Naprawdę - skinął głową.

- Ale czy to o mnie, czy raczej o przesyłkę, którą masz dowieźć do Wolf River?

Nie odpowiedział, tylko pochylił się i znowu ją pocałował.

Byli już blisko motelu. Całując się i obejmując, przekroczyli próg wynajętego na dziś bungalowu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stojąca lampa z abazurem rzucała miękki blask na beżowy dywan i błękitny roślinny wzór narzuty na łóżku. Klimatyzator w kącie pokoju mruzczał cicho i poruszał delikatnie końcami muślinowych firanek.

Jacob zamknął drzwi zgrabnym kopnięciem, nie wypuszczając z objęć Clair.

Jeszcze raz połączyli się w pocałunku, gorętszym, bardziej nagłym niż wszystkie dotąd.

- Chodź - szepnął Jacob, prowadząc Clair w stronę łóżka. Po drodze zasunął zasłony.

Nie opierała mu się, skądże, wszystko szło przecież nareszcie po jej myśli. Przywarła do niego, równocześnie zsuwając z ramion swój żakiet. Jacob pochylił się i przez ciekawą materię bluzki muskał ustami jej pólnagie piersi. Ona wsunęła palce w jego gęstą czuprynę i wdychała jego zapach, mruzcąc z zadowoleniem.

- Naprawdę tego chcesz? Zdziwiła się. Czyżby tego nie czuł?

- Naprawdę. - Naparła na niego tak mocno, że oboje przewrócili się na łóżko.

Leżeli chwilę spleceni, ramionami, udami, zanurzeni w swych oddechach, smakując języki, rozmnażając zmysły.

Rozpletli się i zaczęli sobie pomagać w pozbywaniu się ubrań. Clair dość długo mocowała się z zapięciem sandałów na wysokiej szpilce; w końcu rzuciła jeden i drugi aż pod drzwi.

- Cóż to za paskudztwo! - roześmiała się. Była już tylko w komplecie z czarnej koronki.

- Aleś ty gładka... - Jacob końcami palców zatoczył kilka kółek na jej brzuchu.

Przyjrzała się sobie i nie zaprzeczyła. Tymczasem on sięgnął do zapięcia jej stanika. Sprawnie sobie z nim poradził. Zobaczył dwie piękne, pełne piersi. Pogłaskał ich krągłości.

- Śliczne laleczki - powiedział.

Schylił się i czubkiem języka liznął lewą, a potem prawą.

- Jeszcze... jeszcze...

Jacob poczuł pulsowanie krwi w skroniach, no i także na antypodach ciała. Podjął pieśczoć, całując, lizając, ssąc, bawiąc się brodawkami Clair, niczym dwiema słodkimi landrynkami.

Prężyła się ku niemu, wzdychając i poruszając biodrami. Wreszcie szepnęła, nie otwierając oczu:

- Chodź, Jacob. Chodź już.

- Na pewno tego chcesz? - jak refren powtórzył słowa sprzed paru minut.

Nie odpowiedziała, tylko dwoma zręcznymi ruchami, wkładając palec za gumkę, zrzuciła z siebie koronkowe figi.

Jacob zachłysnął się, mając przed sobą tyle naraz gorliwej piękności. Z pomocą Clair pozbył się szortów i już po chwili był w rajach.

Oboje byli w rajach - kołysząc się gdzieś poza czasem i przestrzenią. Dopłynęli też razem do celu, ciasno spleceni, wołając swoje imiona i natychmiast kładąc nawzajem ręce na ustach, bo przecież nie byli w tym motelu sami, nie byli u siebie.

Spoceni, ułożyli się potem jedno przy drugim, na boku, twarzą w twarz. Powoli uspokajały się ich oddechy, wyrównywały tętna. Patrzyli sobie w oczy, milcząc.

Jacob uniósł się na łokciu. Odgarnął loczki z czoła Clair, pochylił się i pocałował ją w skroń.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? - szepnął.

- Nie powiedziałam... ? Ach tak, że jestem dziewicą. - Obróciła się na wznak. Wzruszyła ramionami. - Wolałam cię nie zniechęcać.

- Zniechęcać! - Jacob roześmiał się. - Niczym mnie do siebie nie zniechęcisz... I coś ci wyjawię - pociągnął ją delikatnie za ucho. - Najwyżej dzień wytrzymałbym jeszcze przy tobie w tym samochodzie, nic nie robiąc... A potem wjechalibyśmy gdzieś w krzaki i musiałabyś mi ulec, taka jest prawda.

Clair usiadła.

- Mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej. - Jacob zrobił szelmowską minę. - Nie wierzysz?

Przyjrzała mu się.

- Może i wierzę... Wierzę! - Dała mu kuksańca w bok.

Przyciągnął ją.

- Myślę o tobie i pragnę cię od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem, jak wychodzisz z tego magazynu dla nowożeńców.

- W Charleston...? - Przeturlała się przez niego na drugą stronę łóżka.

- Hm. Ale ja nie byłam wtedy do wzięcia. Byłam przecież zaręczona.

- No to co? - Jacob uniósł jedną brew. - Nie wolno pomarzyć o gwiazdce z nieba?

Obróciła się i pomału wpełzła na niego. Oparła się na jego piersi i zajrzała mu w oczy.

- Wolno, wolno. - Zmarszczyła czoło. - Szkoda, że Oliver o mnie tak nigdy nie marzył. On był taki... grzeczny i konserwatywny.

- Konserwatywny?

- Twierdził, że trzeba poczekać aż do ślubu...

- Zabawne... Bardzo zabawne.

- Mnie się to nie wydawało zabawne.

Otworzył usta, aby powiedzieć jej, jak w rzeczywistości wyglądała deklarowana powściągliwość przedmałżeńska Olivera, ale się powstrzymał.

- Był głupi - powiedział tylko. - No i przegrał. Pozwolił ci odejść.

Clair westchnęła.

- Nie - uśmiechnęła się. - Wcale mi nie pozwolił odejść. Odeszłam bez pozwolenia.

- Żal ci go trochę! - drażnił się Jacob. - Masz nieczyste sumienie?

- Nieczyste sumienie... - powtórzyła Clair. - Może, może i mam. A jednak niczego nie żałuję! Nie. - Pokręciła głową. - I nie zmieniałabym żadnej rzeczy z tych, które mi się przytrafiły od momentu, gdy wyszłam z kościoła.

- Ani jednej? - Jacob ujął dłoń Clair i zaczął całować koniuszki jej palców. - Jesteś pewna?

Poczuła, że każdy z tych niewinnych pocałunków rozpala nowe iskry pożądania w jej ciele. Serce zaczęło żywiej bić.

- No... Może jedną.

Zajrzał jej w oczy, unosząc brwi. Clair zrobiła figlarną minę.



- Wolałabym mieć z tobą, skoro to już ogłosiłeś w „Pink Steak House”, niejednego małego chłopczyka, ale ze dwóch... I dwie córeczki.

- Aha. - Skinął głową. - I co dalej?

- Dalej... - Spojrzała w sufit, jakby szukała tam natchnienia. - No więc dalej nasze dzieci rosna, rosna, a moja choroba... Jakiś ty ją nazwał?

- Myopsia infarction.

- O, właśnie! - Sturlała się z Jacoba i ułożyła na brzuchu, okręcając biodra rąbkiem prześcieradła. - I choroba także się rozwija; ja zapominam coraz więcej, na przykład gdzie się podziewają moje dzieci i... - spojrzała na niego - dlatego musimy mieć jeszcze więcej dzieci i...

- Ty fantastko! - Pochylił się nad nią, ściągając z niej prześcieradło. - Ty fantastko. - Zaczął ją głaskać od karku aż do stóp, a ona prężyła się jak kot, mruczając z zadowolenia. - Ale żeby ci nastarczyć tyle przychówku, musiałbym chyba odnowić moje zrujnowane przedsiębiorstwo inseminacyjne? Mam rację?

- Jasne. - Obróciła się ku niemu. - Jasne, że tak!

Zaśmiali się oboje i zaraz znowu połączyli. I znów dopłynęli tam, gdzie już byli, a w każdym razie gdzieś blisko tego miejsca. Bardzo, bardzo blisko.

Była już pod prysznicem, gdy on następnego poranka otwierał dopiero oczy. Któraż to godzina, spojrzał na budzik, stojący na szafce nocnej. Szósta trzydzieści. Boże! Ależ z niej skowronek. Przy tej kobiecie nigdy się chyba nie wyśpi.

Obrócił się na drugi bok i spróbował przycisnąć głowę poduszką.

Nic to jednak nie dało. Przestał słyszeć co prawda szum wody, ale usłyszał, że Clair zaczyna śpiewać.

Odrzucił poduszkę i potarł powieki. Po jakimu ona śpiewa? Ach tak, po francusku... A co śpiewa? Natężył ucho. To chyba jakaś aria operowa?

Westchnął. Aria operowa. Oto jest jej świat... Jej świat, ale nie jego. I ona wróci oczywiście do tego swojego świata, bo jakżeby miało być inaczej. To zaś, co przeżyli razem, to przecież tylko przelotna przygoda... W Wolf River wszystko się skończy. Rozstaną się i nigdy więcej nie zobaczą.

Szkoda, pomyślał, szkoda... Wielka szkoda! Zamknął znów oczy i scena po scenie zaczął sobie przypominać wydarzenia wczorajszego wieczoru.

Ech, cóż tam rozpamiętywać!

Odrzucił koc i prześcieradło. Przeciągnął się. Pora wstawać.

Usiadł, potem ruszył nagi w stronę łazienki.

Clair przed chwilą zmieniła repertuar na country. Jacob zatrzymał się. O, to chyba jakiś przebój. Skąd ona to zna?

Nie, wcale nie znała, bo po pierwszej zwrotce od razu zabrakło jej słów i przeszła na la-la-la.

Stanął jak wryty. Clair przestała w ogóle śpiewać, a zaczęła kłać. Clair klnie? Bardzo dziwne.

Położył rękę na klamce.

- Czy coś się stało?

Szum wody w łazience ucichł.

- To ty, Jacob?

Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

- Pytam, czy coś się stało? Bo klniesz jak szewc.

- To przez ten szampon. - Clair znów puściła wodę. - Dostał mi się do oczu.

Patrzył na zarys jej ciała, prześwitujący przez błękitną folię. Co za figura... A gdyby tak zrobić tej nimfie zdjęcie?

No właśnie: dlaczego nie?

Cicho wycofał się z łazienki, odszukał aparat fotograficzny w torbie i wrócił. Przygotował kadr.

- Clair! - zawołał.

- Słucham?

- Pokaż się.

Wysunęła głowę zza zasłony.

- No wiesz! - Schowała się ze śmiechem. - Prawdziwy z ciebie paparazzi. I przy tym goły. Szczególny rodzaj zboczenia.

- Zboczenia? Ja ci dam! - Odłożył aparat i ruszył w jej stronę.

Po chwili obejmowali się już mocno pod strumieniem ciepłej wody i zrastali, tak jak wczoraj wieczorem, choć zasypiali przecież tacy nasyceni.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Kawy?

- Hmm... - Clair przeciągnęła się sennie, podkładając rękę pod głowę. Nie otwierała oczu. Nie miała siły.

Kochali się z Jacobem nie tylko pod prysznicem, ale jeszcze i potem, po powrocie do łóżka. Teraz czuła się i wniebowzięta, i obolała.

Uśmiechnęła się, podciągając prześcieradło pod brodę.

- Rozumiem, że to miało oznaczać „tak”. - Uniósł się nieco i musnął ustami jej skroń. - Zamówimy dzbanek bardzo czarnej i mocnej.

Uchylając jedno oko, Clair dostrzegła, że Jacob opuszcza nogi na podłogę i sięga po dzinsy. Wstał, wysoki, silny, muskularny. Podszedł do krzesła, na którym wisiała koszula. Miło było patrzeć, jak się porusza. Było mu wyraźnie dobrze we własnym ciele.

Pomyślała, że mu zazdrości. Jej w sobie nie było chyba nigdy wygodnie. Kiedyś tam wydawało jej się, że ma za długie nogi czy ręce, potem - że za mały biust. No tak, ale od wczoraj... od wczorajszego wieczora czuła się już ze sobą... absolutnie w sam raz.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Podziękujesz mi, jak wrócę. - Zaczął przewlekać rękawy koszuli z lewej strony na prawą.

Obróciła się, zsunęła nieco prześcieradło i oparła się na łokciu.

- Dziękuję nie za kawę, ale za ostatnią noc. - Uśmiechnęła się do niego. - Cudownie było. Ty byłeś cudowny.

- O! W takim razie i ja dziękuję. - Przysiadł na łóżku, pochylił się i pocałował ją w usta. - Dziękuję za dziękuję i... Panno Beauchamp, pani oczywiście też była cudowna. I bardzo śliczna.

W jej oczach zabłysła przekora.

- Śliczna... Aha. Niezmiernie pan dla mnie uprzejmy, panie Carver. Podchwycił jej ton.

- Ależ drobiazg! Zawsze do usług.

W tym momencie zadzwonił telefon Jacoba, leżący na szafce nocnej.

- To pewnie Odell - Jacob wyciągnął rękę po aparat. - Zdaje się, że już godzinę temu miałem być u niego w sprawie samochodu... Cholera!

Spojrzał na Clair.

- Wiesz co? Ty odbierz. I powiedz mu, że już jestem w drodze.

Dobra?

Kiwnęła głową.

Jacob podał jej komórkę.

Przyłożyła ją do ucha.

- Tak?

W następnej chwili poderwała się i oparła o ścianę. Zakryła aparat ręką.

- To Oliver. Jacob spochmurniał.

- Tak - powtórzyła Clair. - To ja.

Po tamtej stronie przez kilka sekund było cicho. Wreszcie Oliver odezwał się znowu:

- Zaskoczyłaś mnie. Ja mam właściwie sprawę do pana Carvera.

- Czekaj, czekaj... - zastanowiła się. Patrzyła, jak Jacob sięga do torby po parę skarpetek, siada na krześle i zaczyna je wciągać. - Skąd w ogóle masz ten numer?

- Nieważne - zabrzmiał poirytowany głos Olivera.

- Może dla ciebie nieważne, ale dla mnie tak.

- No dobra. Przepisałem go sobie w biurze twojej matki.

- Byłeś w biurze mojej matki? - Clair przełożyła aparat z jednej ręki do drugiej. Spojrzeniem wodziła za Jacobem, który właśnie sznurował buty.

- No cóż - podjął Oliver - zmuszasz mnie do podjęcia nietypowych kroków, że tak to nazwę.

- Niepotrzebnie się wysilasz. Mogę ci powiedzieć, gdzie mnie znajdziesz. Za dwa, trzy dni będę w Wolf River w Teksasie, by się spotkać z moimi braćmi.

- Clair, ale ty jesteś przecież z tym Carverem... To bardzo niebezpieczny facet... Słuchasz mnie?

- Słucham, słucham - uśmiechnęła się Clair.

- Narażasz swą reputację. Grozi ci... być może... uwiedzenie.

Dlaczego się śmiejesz?

- Nie, nic... - Clair pokręciła głową.

- No więc bardzo cię proszę, bądź ostrożna i najlepiej od razu wracaj do domu. Gotów jestem z tobą drugi raz pójść do ołtarza.

Clair spostrzegła, że Jacob zmierza do wyjścia, i zaczęła mu dawać znaki, żeby poczekał. Ale on nie patrzył na nią. Zebrał ze stolika jakieś drobiazgi i już był przy drzwiach. Po chwili zamknął je za sobą.

- Słuchaj - westchnęła Clair. - Ty zdaje się czegoś nie rozumiesz.

Między nami wszystko skończone.

- Jak to skończone! - krzyknął. - Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem? Co on ci o mnie naopowiadał?!

Clair osunęła się z powrotem na poduszkę. Poczowała się bardzo wyczerpana. Odjęła od ucha aparat i z pewnej odległości słuchała dalszych krzyków. Potem nacisnęła guzik i w ten sposób przerwała rozmowę.

Telefon po chwili zadzwonił znowu; wtedy całkiem go wyłączyła.

Spojrzała na zegar stojący na szafce nocnej. Właśnie 9.02 przechodziła w 9.03. Jacob nie wracał. A więc nie będzie obiecanej kawy, pomyślała. Ach racja, przecież sprawa samochodu... No dobrze.

Jacob wychodził stąd dziwnie naburmuszony. Jak gdyby ona była winna temu, że tropi ją jej były narzeczony! Pokręciła głową. Tak czy owak, pora wstawać.

Clair odrzuciła prześcieradło. Jacob... No tak, dali sobie nawzajem dużo rozkoszy, ale przecież on ją prawdopodobnie zostawi w tym Wolf River i wróci do New Jersey. I to będzie koniec ich historii... Smutny romans, jak wiele innych.

Cóż, takie jest życie.

Nie warto się jednak martwić przed czasem. Usiadła i rozejrzała się za swymi rzeczami. Przyciągnęła torbę podróżną i zaczęła w niej grzebać. Z uśmiechem wysupłała z samego dna stringi. Przyglądając się ich lamparciemu wzorowi, wstała i ruszyła po raz drugi tego poranka pod prysznic.

Dwie godziny później, spocony i usmarowany, Jacob wrócił do pustego, cichego pokoju motelowego. Rozejrzał się rozczarowany: gdzie

jest Clair? Byłoby najlepiej, gdyby czekała nadal w jego łóżku - tam gdzie ją zostawił... Nie, nie, co za głupstwa; jeśli mają dziś jechać, powinni raczej zaraz ruszać. Spojrzał na zegarek: było już blisko południe.

- Clair! - zawołał. Odpinając guziki koszuli- ruszył do drugiego pokoju. Nacisnął klamkę i zajrzał. Pusto. - Clair - powtórzył.

Łóżko było równo zasłane. Żadnych drobiazgów na szafce nocnej. W ogóle znikły jej wszystkie rzeczy.

Poczuł, że coraz mocniej wali mu serce.

No tak. Dzwonił przecież ten Oliver.

Przycisnął sobie palcem kącik lewej powieki, który zaczął drgać nerwowo. Niech to wszyscy diabli! Ona spakowała się i... Hollingsworth był pewnie gdzieś niedaleko i już odjechali.

A przecież dawała mi znaki, kiedy wychodziłem, pomyślał. Wolałem jednak nic nie widzieć. I ona się obraziła. Poczuli się zlekceważona, odepchnięta- To taka wrażliwa dziewczyna...

Jacob uderzył się pięścią w głowę.

- Ty durniu - zamruczał.

Ale czym ten Oliver przekonał ją do siebie? Co on jej teraz naobiecował? Powinienem być jej opowiedzieć o tym blond wampie z motelu „Wanderlust”, z którym Oliver spędził noc przedślubną.

Westchnął i dla porządku zajrzał jeszcze do łazienki. Może coś zostawiła, choćby grzebień czy szminkę?

Nie, nic nie było. Jej łazienka w ogóle wyglądała na nieużywaną. No i nic dziwnego: przecież spędzali noc w jego części bungalowu. Zdjął z półki standardowe mydło, opakowane w celofan. Obejrzał mały szampon. Zapieczętowany.



Znowu westchnął. Szkoda. Wielka szkoda. Nie przypuszczał, że rozstaną się tak bez słowa.

Po chwili poczuł nieprzyjemny dreszczyk. No bo teraz jest jeszcze dodatkowy kłopot: jako on się wytłumaczy Blackhawkom? A co będzie, jeśli na przykład Oliver porozumie się z braćmi Clair i oskarży jego, detektywa Carvera, o uwiedzenie mu narzeczonej, ba, uwiedzenie klientki!

Nagle za progiem rozległ się głos... tak, głos Clair!

- Z kim ty tutaj rozmawiasz?

Szybko się odwrócił. I ujrzał ją w drzwiach, ze zdziwioną miną.

Poczuł, że jest mu wstyd. Był zły, ale i szczęśliwy. A więc jest, nie zniknęła!

I stoi tu, dziwnie świeżutka, w płowych szortach i brązowej koszulce z cienkiej bawełny. Na stopach ma skórzane japonki, ozdobione stokrotką między palcami.

Uśmiechnął się.

- Gdzieś ty się podziewała? Uniosła brwi i pokazała za siebie.

- Nie czytałeś mojej kartki?

Kartki? Do licha, oczywiście, że nie. Musiał ją przegapić. Za szybko doszedł do wniosku, że Clair odjechała z Hollingsworthem.

- Jasne, nie czytałeś - skostatowała. - Chodź, pokażę ci.

Wyszli z łazienki, przechodząc do pokoju Jacoba. Clair zsunęła z ramienia małą podręczną torbę. Obróciła głowę.

- Myślałeś, że cię zostawiłam, co?

-Ja...? Skąd!

- Kłamca.

- No dobrze - przyznał niechętnie. - Ale co innego mogłem pomyśleć? Zabrałaś ze sobą wszystkie rzeczy.

- Źle mnie osądzasz - westchnęła Clair. - ...A rzeczy są tu, o, widzisz? - Pokazała swój spakowany bagaż, ustawiony grzecznie obok jego torby.

- Cholera, rzeczywiście...

- No i liścik. - Clair wzięła karteczkę, leżącą na krześle. Podsunęła ją Jacobowi pod nos. - Co z ciebie za detektyw?

Zaśmiali się oboje.

- Punkt dla ciebie. - Jacob skłonił się i wykonał ręką dworny gest.

- To są, jak rozumiem, przeprosiny? - Clair skrzyżowała ramiona.

- Jeśli zechcesz to tak potraktować... No, a co jest w liście? - zainteresował się Jacob.

- Nic szczególnego. Napisałam ci, że idę na kawę do Bridgette, skoro ty mi jej poskapiłeś.

- A niech to... - Jacob potarł czoło. - To wszystko przez Odella. Inne rzeczy wyleciały mi z głowy. Patrz, jak się usmarowałem - poskarżył się, obracając dłonie ku górze.

- ...Przez Odella, a nie przez Olivera? - Clair uniosła jedną brew do góry.

Spuścił oczy.

- Racja, znów punkt dla ciebie. - Wzruszył ramionami. - Zdenerwował mnie ten Hollingsworth.

- Mnie też zdenerwował. Jemu się wydaje, że ja do niego wrócę. Ba, że do niego należę! Nadal chce brać ślub! No i ostrzega mnie przed tobą.

Jacob podniósł wzrok.

- Tak, ostrzega - powtórzyła Clair. - Mówi, że grozi mi z twojej strony uwiedzenie... Ale by się zdziwił - zrobiła krok do przodu i pociągnęła Jacoba za guzik od koszuli - gdyby się dowiedział, że to ja cię uwiodłam.

- Ty?! - Jacob był szczerze zaskoczony.

- Właśnie ja. - Clair zrobiła szelmowską minę. -I jeszcze uwiodę. - Przyłgnęła całym ciałem do spoconej piersi Jacoba. Ręką sięgnęła do suwaka jego spodni..

Poczuł nagły skok tętna. Spróbował się jednak odsunąć.

- Poczekaj - powiedział. - Ja muszę jednak wziąć prysznic.

Wspięła się na palce i przycisnęła usta do jego warg.

- Ile ci to zajmie?

Zaczął ściągać koszulę, odwrócił się i zniknął w łazience.

Pluskał się w najlepsze, pieniąc na włosach szampon, z zamkniętymi oczami, gdy nagle tuż za nim, za zasłoną, odezwała się Clair.

- Jacob!

Obrócił się, próbując szybko zmyć pianę z twarzy. Taka niecierpliwa?

- I co, powtórzmy poranek? - zapytał. – Chodź - wyciągnął do niej rękę.

Ponieważ nie odpowiadała, wysunął głowę zza folii. Wtedy błysnęła lampa. Clair się zaśmiała.

- Bardzo dziękuję! Może jeszcze jedno? - I znów przyłożyła aparat do oka.

Schował się.

- O nie, co to, to nie.

- Musi być jakaś sprawiedliwość - powiedziała Clair.
- Jak ty komu, tak on tobie. Ty mnie przyłapałeś tutaj o świcie, a teraz ja ciebie. Rachunki zostały wyrównane.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Autostrada, prosta jak pod linijkę, leżała za nimi i przed nimi. Było popołudnie. Z obu boków słały się pola lucerny, napełniając powietrze słodką wonią upraw. Od czasu do czasu mijali też ферmy hodowlane i wtedy zapachy stawały się ostrzejsze.

Clair położyła łokieć na opuszczonej całkowicie szybie i wdychała ten krajobraz. Przepełniało ją uczucie szczęścia. Jacob był obok i podśpiewywał coś razem z Billy Joelem w radiu. Czowała się bezpieczna. Świeciło słońce. Wietrzyk muskał jej włosy. Czego można jeszcze żądać od życia? Daleko, na horyzoncie, zbierały się ciemne chmury. Ale nie niepokoili Clair.

Byli w drodze już trzecią godzinę, od kiedy pożegnali Liberty. Ku zniecierpliwieniu Jacoba, Clair prosiła parokrotnie, żeby przystawał na chwilę, bo ona miała ochotę dalej fotografować. W Hat Box zrobiła zdjęcie ładnemu białemu kościółkowi ze strzelistą wieżą. Pod Bobcat uwieczniła wrak traktora, opleciony w sadzie pnączami winorośli. W Eunice zainteresowała ją pewna stara, zabytkowa stodoła. Nie mogła się też doczekać, kiedy będą mogli wywołać film.

Oczywiście najbardziej ciekawiły ją ujęcia z nimi samymi, te z motelu w Liberty. Jacob boczył się na nią trochę za jej „odwet fotograficzny”, ale potem śmiał się już tylko, gdy odprężeni leżeli razem w łóżku, po nowej porcji miłości.

Szkoda, że wkrótce trzeba będzie się rozstać. Czy uda jej się kiedyś jeszcze znaleźć kochanka takiego jak on? Może to i dobrze, pomyślała, że

nie padły między nimi żadne wiążące wyznania. Łączy ich namiętność tylko fizyczna. Szczęście w nieszczęściu. To ułatwi pożegnanie.

Oparła się o zagłówek i zamknęła oczy. Potem znów zerknęła na Jacoba. A jeśli między nimi zaczęło się jednak coś więcej niż seks? Dziś rano telefon od Olivera zupełnie go rozstroił. Myślał, że odeszła; był wściekły. Kiedy wróciła od Bridgette, wyraźnie się rozpromienił.

No tak, a co ona sama czuje do niego? Czy coś jej w nim imponuje, poza męską urodą - opiekuńczość, zdecydowanie, prawość, delikatność i fantazja. Co jeszcze?

- I co zamierzamy, Clair? - wpadł jej niemal w tok myśli.

- Słucham? - Poprawiła się spłoszona na fotelu.

- Pytam, gdzie jedziemy. - Zaczął wyciągać ze schowka mapę.

Następnie pokazał głową ciemne chmury, których na horyzoncie wciąż przybywało. - Mniej więcej za godzinę wjedziemy w burzę. Powinniśmy się gdzieś zatrzymać. - Podał jej mapę. - Pokaż palcem, gdzie byś chciała.

Kilkakrotnie skinęła głową.

- Teraz jesteśmy chyba tu? - Postukała w atlas.

- Zgadza się.

Zacząła studiować nazwy okolicznych miejscowości. Forest Glen?

Nie, to zbyt ogólnikowe. Rolling Flats? Sprzeczne w sobie; bez sensu.

Crab Apple? Znadto cierpkie.

Gray Creek... Arrow Bend... Quartz. Nie, nie i nie.

Dopiero pięćdziesiąt mil na zachód znalazła coś do zaakceptowania.

Uśmiechnęła się, spojrzała na Jacoba i wręczyła mu mapę.

W godzinę potem Jacob podjeżdżał na parking przed-motelem „Cztery Wiatry” w Lucky, w Luizjanie. Ciemność ogarnęła już trzy czwarte nieba. Powietrze było naelektryzowane. Grzmiało i błyskało.

Wysiedli z samochodu i weszli do recepcji. Zastali w niej leciwą damę drzemącą w krześle, z głową opuszczoną na pierś i z burym kotem na podolku. W małym telewizorku ustawionym na kontuarze szedł właśnie jakiś quiz. „Poproszę o pytanie za pięćdziesiąt punktów z literatury”, powiedział jeden z uczestników. Prowadzący nacisnął guzik i na tablicy zostało wyświetlone zdanie: „Zanosiło się wtedy na złą pogodę - od takich słów zaczyna się jedna z powieści Ernesta Hemingwaya. Która?”

- Ruchome święto - mruknął Jacob.

Clair spojrzała na niego z zaciekawieniem. Nie podejrzewała, że detektyw Carver może być tak odczytany.

Czekali nadal uprzejmie, aż dama prowadząca recepcję sama się obudzi. Tymczasem quiz toczył się dalej. Zmieniono dziedzinę. „Jaka jest ósma planeta Układu Słonecznego?”, zapytał prowadzący.

- Neptun - szybko podpowiedział Jacob, sięgając do kieszeni po portfel.

Clair z uznaniem pokiwała głową. „Pierwiastek kwadratowy z dwudziestu pięciu tysięcy?”

- Pięćset, prawda? - Jacob uśmiechnął się do niej i zapukał w kontuar.

Kot zeskoczył z kolan babci, a ona sama drgnęła i sięgnęła po okulary, zwisające na łańcuszku. Nasunęła je na długi, cienki nos.

- Chyba trochę przysnęłam... - Zaczęła się podnosić z krzesła. - Przepraszam państwa.

- Szukamy pokoju na jedną noc. - Jacob przesunął po kontuarze swoją kartę kredytową. - Z małżeńskim łóżem. Zaznaczam, że jesteśmy niepalący.

Zamówił jeden pokój. Jeden, dotarło do Clair. To coś nowego. W dodatku z łóżem małżeńskim!

Kot wskoczył na kontuar i wygiął grzbiet w łuk. Na czarnej obróżce miał wypisane błękitnymi literkami imię „Zeke”. Jacob pogłaskał go.

- Witamy w Lucky - uśmiechnęła się recepcjonistka. - To jest Zeke, a do mnie proszę mówić po prostu Dorothy... Gdzie pan wiezie swoją żonę, jeśli wolno spytać?

Żonę. Clair spojrzała na Jacoba, oczekując, że dokona on korekty sugestii Dorothy.

Jednak podpisał tylko rachunek i wzruszył ramionami.

- Niedaleko. Do Wolf River.

- O! - ucieszyła się starsza dama. - Znam to miejsce. Mam tam kuzyna.

Clair poczuła się zelektryzowana.

- Pani... ma tam kuzyna?

- I owszem, Boyda Smitha. A jego żonie na imię Angie.

Clair mocniej zabiło serce.

- I... odwiedza ich pani może w Wolf River?

- Kiedyś bywałam tam w każde wakacje, na ranczu wujostwa, tuż pod miastem. - Dorothy oparła się o kontuar. - Ale to już dobre pięćdziesiąt lat temu... No, jednak od czasu do czasu wpadam i teraz do Boyda i Angie. Miasteczko bardzo się zmieniło, rozrosło.



- Clair - szepnął Jacob. - Może już chodźmy... Spojrzała na niego, a potem znów na Dorothy.

- Czy pani... kiedykolwiek słyszała o rodzinie Blackhawków?

- Blackhawków? - Kobieta zdawała się zaskoczona tym pytaniem. - No pewnie, że tak. Każdy, kto odwiedzał te strony, musiał o nich słyszeć. Byli właścicielami więcej niż połowy ziemi na południe od miasta.

- Byli?

- A, to dłuższa historia... - Dorothy przestąpiła z nogi na nogę. - Znałam trzech braci Blackhawków

- uniosła dłoń i wysunęła trzy palce. - Williama, Thomasa i Jonathana. William był najstarszy i raczej podlec. Po nim Jonathan, dobry człowiek. Najmłodszy był Thomas, gorąca głowa. Mieliśmy się nawet z Tomem trochę ku sobie, w baaardzo dawnych czasach... -Spojrzenie Dorothy zamgliło się za grubymi szklami. Potem starsza dama pochyliła się nad kontuarem, zaciskając usta. - Nigdy nie uwierzyłam, że próbował zamordować tamtego człowieka, choć był sąd nad nim i zapakowano go za kratki. Biedak umarł w celi... Zajęło im ze dwadzieścia lat, nim go zrehabilitowali. Tak było, tak było - pokiwała głową.

William i Thomas. Moi stryjowie, zdała sobie sprawę Clair. A Jonathan to ojciec.

- Czy wie pani coś więcej o Jonathanie? Dorothy westchnęła i podrapała Zeke'a za uchem.

- Tragicznie skończył. - Zsunęła okulary. - Ale z innego powodu niż Thomas. On, jego żona i trójka dzieci - wszyscy zginęli pewnego dnia w wypadku samochodowym.

Nie, nie wszyscy, chciała zaprotestować Clair. Ja i moi bracia żyjemy. Pokiwała tylko głową.

- I nikt z rodu Blackhawków nie żyje?

- Zdaje mi się... - Dorothy znów nałożyła okulary - że pod Wolf River mieszka Lucas, syn Thomasa.

A chłopak Williama przepadł gdzieś bez wieści. Był taki sam ladaco, jak ojciec.

Kiedy zadzwonił telefon i Dorothy ujęła za słuchawkę, Jacob odchrząknął.

- Chodźmy - powiedział do Clair. - Za chwilę będzie lato.

Ruszyli do wyjścia.

Na zewnątrz Clair przytuliła się do Jacoba, obejmując go w pasie. On też ją objął.

- Widziałam dokumenty... - zaczęła mówić. - Usłyszałam potwierdzenie z ust rodziców. Ale aż do tej chwili cała ta moja teksańska historia nie wydawała mi się zbytnio realna. - Prawą ręką ujęła koszulę na piersi Jacoba i podniosła wzrok. - Dopiero opowieść tej kobiety...

- Taaak - skinął głową. - Dobrze cię rozumiem.

- Ona знаła mojego ojca! - Zdziwienie kazało jej się uśmiechnąć, ale przez łzy. - Znała stryjów.

Uderzył w nich wilgotny wiatr; zagrzmiało, bardzo blisko.

Przystanęli. Clair pogłaskała Jacoba po policzku, jakby sprawdzała, czy on sam jest wystarczająco realny.

Coś się zmieniało. W powietrzu. I między nimi. Może nawet we wszechświecie, pomyślała Clair. Zajrzała w oczy Jacobowi. I wydało jej się, że on czuje teraz dokładnie to samo, co ona.

W następnej chwili jednak puścił ją i wsadził obie ręce do kieszeni dzinsów.

- Wiesz co? Zauważyłem pizzerię po drugiej stronie - powiedział. - Może byśmy poszli coś zjeść?

Wzruszyła ramionami.

- W porządku. - Zmusiła się, by użyć równie lekkiego tonu jak on. - Niech będzie pizza. Pepperoni!

- Pepperoni było u ciebie w domu na liście rzeczy zakazanych? - Jacob uśmiechnął się. - Toż to jawne okrucieństwo! Musisz mi coś więcej opowiedzieć o tej liście.

Ruszyli ku niedalekiemu budynekowi, licowanemu klinkierem i ozdobionemu neonem.

Kiedy weszli, ogarnęła ich od razu tak rozkoszna chmura aromatów, że choć wewnątrz było tłoczno, nie zamierzali się już wycofywać. Stoliki były tu biało-czerwone, puszczano włoską muzykę ludową, obsługa śpiewnie przekrzykiwała się ponad kontuarem, kucharze cyrkowo podrzucali placki w powietrze i łapali je w locie. Klienci grzecznie stali w trzech kolejkach, jednej do kasy, drugiej po odbiór dań i w trzeciej do napojów.

- I tak się nie roztroimy - osądziła Clair. - Wobec tego ja idę zająć jakiś stolik, a ty zamawiaj.

Po kwadransie spotkali się w salce na piętrze, przeznaczonej dla rodzin z dziećmi. Było tu trochę ciszej i luźniej; pod ścianami stały automaty do gier wideo i mechaniczne bilardy na żeton. Jacob omal nie upuścił tacy z jedzeniem i napojami, gdy dwaj malcy smyrgnęli mu pod nogi, pędząc do wyjścia.

- Co za łobuzy - zamruczał.

- To przecież tylko dzieci! - Clair wstała i zaczęła zdejmować z tacy talerze, szklanki i sztućce. - Nie lubisz dzieci?

Skrzywił się, odsuwając krzesło.

- Lubię, lubię - powiedział. - Sam kiedyś byłem niezłym łobuzem...

- Nie wierzę ci. - Usiadła i sięgnęła po szklankę z wodą sodową. -

Łobuzy nie czytają Hemingwaya i nie znają się na pierwiastkach kwadratowych.

- Nie znają się, chyba że - Jacob poruszył brwiami - że pchnie ich na dobrą drogę jakiś sensowny kurator.

Clair odstawiła szklankę.

- Kurator? Więc miałeś kuratora? Dlaczego?

Jej zdziwienie uprzytomniło mu znowu, w jak innym świecie żyli on i ta dziewczyna. Bo gdzież slumsy New Jersey, a gdzie posiadłości bogaczy z Karoliny Południowej! Główną troską jego chłopięctwa było przetrwanie. Ścierpłaby jej skóra, gdyby się do wiedziała, jak wyglądało jego dzieciństwo.

- Jako czternastolatek trafiłem do poprawczaka. - Zaplótł ręce na karku i wyciągnął nogi pod stołem.

- Za co? Dlaczego?

- Banalna historia. Włamałem się do auta. Po radio.

Clair pokręciła głową.

- I od razu cię zamknęli? Za pierwszym razem?

- Miałem pecha. A może to nie był pech...

- Nie zainteresowali się tym, że pochodzisz z rozbitej rodziny? Że twój ojciec to alkoholik?

- Owszem. I właśnie dlatego trafiłem do zakładu wychowawczego. Uznali, że muszą mnie izolować od ojca. - Jacob ujął widelec i dziobnął pizzę. - A mój brat poszedł do rodziny zastępczej.

- Rozłączyli cię z bratem? - Clair nachyliła się nad stolikiem. - To okropne!

- Może i okropne. - Jacob odłożył widelec. - Ale w końcu co mogło nas lepszego spotkać? Dzięki temu Evan znalazł się wśród uczciwych ludzi i mógł być wychowany na porządnego człowieka. Miał dopiero jedenaście lat. A i moje życie też zyskało cel.

- Co za cel?

- Uparłem się, żeby nie zejść na psy, jak iluś tam moich koleżków z ulicy, no i jak mój własny ojciec. Kiedy skończyłem szkołę średnią, wyszedłem z zakładu za poręczeniem i znalazłem pierwszą pracę. Wkrótce okazało się, że mam dryg do odszukiwania ludzi, którzy nie chcą być znalezieni. W dwa lata później miałem już licencję prywatnego detektywa i mogłem otworzyć biuro w Jersey.

- A co z twoim bratem?

- Też skończył szkołę średnią, a potem dostał stypendium na Uniwersytecie Tekszańskim. Jest jak jest; żaden z nas nie ogląda się wstecz.

Nie ogląda się wstecz. Czy to dlatego Jacob lubi być bez przerwy w drodze, jadąc naprzód, naprzód i naprzód... Dziwne: on nie chce pamiętać przeszłości, a ja nie mogę sobie swojej dobrze przypomnieć... Clair westchnęła.

- No a gdzie jest teraz Evan?

- Ma przedsiębiorstwo budowlane, dwadzieścia mil od Fort Worth, w małej miejscinie, Kettle Creek. - Jacob skinął głową, jakby sam sobie

przytakując. – Magister po uniwersytecie, a daje sobie radę w biznesie, wyobraź sobie.

Clair zauważyła na twarzy Jacoba przelotny wyraz ironii, a zarazem podziwu.

- A ty czemu nie studiowałaś?

- Uważam, że tytuły są dobre dla ludzi, którzy chcą pracować od-do, lubią podlegać i wytrzymują użeranie się z szefami. - Wzruszył ramionami. - Ja lubię życie swobodne. Żadnych stałych godzin, niewoli prestiżu, domu z trawnikiem i rosnącej familii do obsłużenia. ..

Pomyślała, że on, mówiąc to, wyraźnie daje jej do zrozumienia, że jednak rozstaną się po przybyciu do Wolf River. Jego praca będzie zakończona, zadanie wykonane. „Wolność” odzyskana. Cóż, przykre to, ale chyba uczciwe. Długo ją oszukiwano na różne sposoby, zatem prawdzie zawsze należy się szacunek.

Ta jazda do Wolf River jest w istocie podróżą w poszukiwaniu prawdy... Clair bardzo chciałaby wiedzieć, co się naprawdę zdarzyło dwadzieścia trzy lata temu. A zwłaszcza, dlaczego się to zdarzyło.

Oboje patrzyli na siebie przez chwilę.

- Zdaje się, że nasza pizza trochę przestygła? -uśmiechnął się w końcu Jacob. - Wyciągnęłaś mnie na wspominki.

Clair przysunęła do siebie talerz i nic nie odpowiedziała.

Za oknami były pioruny i lał deszcz. Kiedy się nieco przejaśniło, wstali od obiadu i ruszyli do motelu. Tam znowu się kochali - któryż to już raz dzisiaj...

Było w tym jednak coś nowego, jakiś nastrój pożegnania, radość zmieszana ze smutkiem. Każda godzina, minuta i sekunda przybliżała ich

do pewnej krawędzi, za którą zaczynała się niewiadoma. Świat bez Jacoba i bez Clair.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Witamy w Wolf River, panno Beauchamp. - Henry Barnes uśmiechał się szeroko, ująwszy rękę Clair w swoje obie dłonie. - Bardzo, bardzo się cieszę, że nareszcie mam okazję panią poznać.

Ten siwowłosy człowiek w dżinsach, koszuli zapinanej na metalowe guziki i butach kowbojskich, pomyślała Clair, bardziej wyglądał na ranczera niż sędziego. Twarz miał pobrużdżoną, ale czerstwą, w ciemnych oczach zaś - samą życzliwość.

Od momentu gdy Jacob i ona minęli na szosie tablicę z napisem „Witamy w hrabstwie Wolf River”, a potem zaczęli parkować przed biurem prawniczym Beddinghama, Barnesa i Stephensa, Clair trudno było pozbierać myśli. Skupiła się teraz z wysiłkiem.

- I ja się cieszę ze spotkania, panie Barnes - powiedziała. - Niech mi pan wierzy...

- Proszę mi mówić po prostu Henry - sędzia Barnes skinął głową i uwolnił rękę Clair. Po czym spojrzał na Jamesa. - Pan Carver, jeśli się nie mylę? Nie wiem, czy mam pana uważać za magika czy cudotwórcę, zapewne jedno i drugie. - Uśmiechnął się. - Tak czy owak, jako pełnomocnik rodziny Blackhawków stokrotnie dziękuję za odnalezienie i dowieszenie tu Elizabeth. To znaczy Clair. - Wyciągnął rękę do Jacoba.

Jacob uściskał podaną dłoń i wymruczał jakiś protest, w reakcji na zbyt wyszukany jego zdaniem komplement.

- No, a teraz pora na kawę. - Barnes wskazał gościom dwa krzesła naprzeciw swego wielkiego, dębowego biurka. - Czujcie się jak u siebie - powiedział. - Ja zaraz wracam.



Clair usiadła, a Jacob się zawahał.

- Może poczekam na zewnątrz? Ta sprawa dotyczy w końcu tylko ciebie i...

- Nie, proszę cię, zostań. - Przytrzymała go za rękaw. - Będzie mi różnie, naprawdę.

Ja cię potrzebuję, chciałaby mu wprost powiedzieć, nadając temu wyznaniu różnorakie sensy, ale może by go tym spłoszyła? Patrzyła więc tylko na niego, nic więcej nie mówiąc.

Jacob został, ale nie usiadł; zamiast tego podszedł do narożnika gabinetu, gdzie w sporej gablocie wystawiono kolejkę żelazną z XIX wieku, zaaranżowaną w pagórkowatym krajobrazie, z torami wijącymi się wśród kopalń i tuneli, mostków nad rzeką i zielonych dolin, z miniaturowymi stadami bydła.

Clair zauważyła, że Jacob rozgląda się za włącznikiem uruchamiającym ten mały światek, i z trudem powstrzymała uśmiech na widok walki wewnętrznej, jaką detektyw Carver stacza ze sobą, znalazłszy go. Walkę wygrał; poprzestał na wnikliwym oglądzie pięknej makiety, z dokładną lekturą opisu na tabliczce z boku i tym podobną celebrawą.

- Cacko. - Obrócił się do Clair. - Prawdziwe cacko. Skinęła w milczeniu głową.

I zamyśliła się nad tym, jak wyglądał ich dzisiejszy poranek oraz przedpołudnie. Cała droga z Lucky tutaj trwała pięć godzin, z przerwami na zatankowanie i krótki posiłek w Lampasas, małym teksańskim miasteczku, znanym z wód leczniczych. Nie rozmawiali zbyt wiele. Clair czuła radosny niepokój na myśl o rychłym ujrzeniu braci, Randa i Setha,

jednak radość przyćmiewał żal z powodu nadchodzącego pożegnania z Jacobem.

A co czuł Jacob?

- No, już jestem. - Do gabinetu wszedł Henry, dźwigając tacę z kawą i słodkościami. - Judy, moja sekretarka, zwołała się po południu na wyprzedaż ciast, zorganizowaną przez komitet rodzicielski. Potrzebujemy pieniędzy na książki do nowej biblioteki w szkole podstawowej. - Ustawił tacę na swym biurku. - Ja już zdążyłem dziś złożyć swoją daninę - uśmiechnął się. - Kupiłem od Angie Smith tuzin czekoladowych rozków francuskich.

- Angie Smith? - odezwała się Clair. - Ma pan... to znaczy masz na myśli Angelę Smith, żonę Boyda?

Unosząc brwi, sędzia usiadł na skórzanym fotelu za biurkiem.

- Słyszałaś o Angie i Boydzie? - zapytał.

- Owszem, trochę. Chociaż... - zawahała się.

- Poznaliśmy w Lucky, w Luizjanie, Dorothy, kuzynkę Smitha - pomógł Jacob. - I ona opowiadała nam to i owo o ludziach z Wolf River. Sędzia skinął głową.

- Tak się składa, że Angie jest najlepszą przyjaciółką Lucasa i Julianny Blackhawków...

Lucas, Julianna, Angie. Clair wiedziała, że trzeba będzie jeszcze raz zapytać o krewniaków. Na razie chłoneła tylko wszystko, zbyt oszołomiona, aby cokolwiek analizować.

Splotła ręce na kolanach.

- To moja rodzina, jak rozumiem... Ale chciałabym wreszcie usłyszeć, co się stało tak naprawdę z moimi najbliższymi?

Sędzia odchrząknął.

- Posłaliśmy Jacobowi najbardziej niezbędne informacje, aby je tobie przekazał. Natomiast szczegóły chcieliby ci już przedstawić sami bracia, gdy się wreszcie spotkacie.

Moi bracia.

Clair czuła, jak jej mocno bije serce. Czy jednak trzeba czekać aż do spotkania z braćmi?

- Panie Barnes... Henry, ja proszę...

Sędzia splótł ręce na brzuchu i zakręcił młynka palcami. Odchylił się w fotelu.

- No dobrze - powiedział. - Zaczniemy od tego, że dwadzieścia pięć lat temu, dwudziestego trzeciego września, urodziłaś się Jonathanowi i Norze Blackhawkom i że zostałaś ochrzczona jako Elizabeth. Miałaś dwóch braci, Randa, wówczas dziewięcioletniego, i Seta, siedmiolatka. Twoi rodzice byli właścicielami rancza ze stadniną koni, tuż pod Wolf River.

Henry wyciągnął z teki leżącej na biurku pewien dokument i podał go Clair. Ujęła papier, czując, jak drży jej ręka. Był to akt urodzenia - jej samej. Zawierał takie szczegóły jak to, że przyszła na świat o 3.47 po południu, że ważyła 3 i pół kilograma, mając 55 centymetrów długości. Oczy - niebieskie.

- Dotąd obchodziłam swoje urodziny 29 sierpnia - powiedziała cicho. I samej sobie w myślach powtórzyła, że całe jej dotychczasowe życie było sfalszowane. Sfalszowane! - Mówiono mi też, że urodziłam się we Francji.

Sędzia sięgnął znów do teki.

- Tu masz oryginał tego artykułu z gazety o wypadku samochodowym. - Przesunął po biurku wycinek.

- Kopię chyba widziałaś?

Clair skinęła głową. Nie odważyła się jednak sięgnąć po kruchy, pożółkły papier.

- Dlaczego ten dziennikarz napisał nieprawdę? - zapytała. - Że zginęły również dzieci.

- Intryga! - odrzekł krótko Henry. - I to złożona.

- Zrobił współczującą minę. - Rzecz wydawała się jednak bardzo prawdopodobna, więc nikt nie kwestionował tej relacji.

- Intryga? - Clair pokręciła głową. - Mimo wszystko nie bardzo rozumiem.

Sędzia poprawił się w fotelu.

- W ten burzowy wieczór - westchnął - kiedy wydarzyła się katastrofa, pierwszym, który natknął się na wrak auta, był Spencer Radick, szeryf z Wolf River. Wydawało mu się, że nikt z pasażerów nie ocalał, i powiedział to przez telefon Williamowi, bratu twego ojca. William dość szybko przybył na miejsce, to znaczy on i Rosemary Owens, jego gospodyni, która go przywiozła, bo sam William był nietrzeźwy. No i oboje odkryli, że dzieci jednak żyją i są w szoku, poza tym nic im się właściwie nie stało. Parę zadrapań i stłuczeń.

Spencer Radick, William, Rosemary Owens. Clair próbowała utrwać w myślach wszystkie te imiona i nazwiska.

- William to mój stryj - powiedziała cicho. - A więc on nas stamtąd zabrał...

- Owszem, ale... - Henry podrapał się w czoło. - To nie był dobry człowiek. No i przy tym miał za złe swoim braciom, że pożenili się z kobietami białej rasy.

- Rozkoszny typek - wtrącił Jacob.

Sędzia wzniosł oczy do sufitu i pokiwał głową. Clair pochyliła się.

- No, ale... co on potem z nami zrobił? - Zadała to pytanie, choć akurat znała na nie odpowiedź. - Sprzedał nas, po prostu, czy tak?

- W pewnym sensie - potwierdził Henry. - Chociaż sam z tego nie miał żadnych pieniędzy. Porozdawał was ludziom, i to w ciągu jednego dnia. Rand - zaczął wyliczać - poszedł w ręce Rosemary, która wkrótce wyjechała z Wolf River. Setna dał szeryfowi - on też zniknął. Ty trafiłaś się Leonowi Watersowi, skorumpowanemu prawnikowi z Granite Springs, który specjalizował się w nielegalnych adopcjach. Wszystkich was adoptowano, Randowi i Sethowi powiedziano, że reszta rodziny zginęła. Ty zaś byłaś za mała, żeby rozumieć cokolwiek.

- Wciąż czegoś nie rozumiem... - Clair oparła czoło na otwartej dłoni. - Przecież musiały być jakieś akty zgonu. Podczas pogrzebu widać było, że nie ma ciał dzieci. Dlaczego nikt z sąsiadów czy innych członków rodziny nic nie zakwestionował?

- Twój stryj Thomas i jego żona już nie żyli. Ich syn, Lucas, był ledwie nastolatkiem. Żona Williama, Mary, miała słaby charakter i wolała udawać, że wszystko jest w porządku. Z kolei ich syn, Dillon, był jeszcze małym dzieckiem. - Henry westchnął. - Stryj William sownie opłacił zresztą milczenie tych, którzy mogliby być dla niego niebezpieczni. Przekupiony Spencer Radick opuścił miasto po około dwóch miesiącach i

słuch o nim zaginał. Rosemary Owens przeprowadziła się do Vermont. Leon Waters także zlikwidował swą praktykę i zniknął.

- Waters szantażował moich rodziców parę lat temu. - Clair pamiętała, co mówili jej o tym niedawno ojciec i matka. - Zapłacili mu, żeby zachował dyskrecję w sprawie adopcji.

- Dyskrecję! - zachnął się szyderczo Jacob.

- Waters to szumowina - podjął Henry. Spojrzał na Clair. - Ale może pocieszysz cię, że rodzice nie znali jeszcze prawdy, kiedy ciebie adoptowali.

- Poznali ją jednak potem. I nie zechcieli mi jej wyjawić. Mama podtrzymywała bajeczkę o tym, jak była ze mną w ciąży i jak trudny był poród.

Sędzia Barnes rozłożył ręce.

- Czasami granica między prawdą i fikcją bywa w życiu niewyraźna. - Poprawił się w fotelu. - Ale my tu spotkaliśmy się między innymi po to, by uczynić ją wyraźną.

- Dwadzieścia trzy lata... - szepnęła Clair do siebie.

- Tyle czasu... W jaki jednak sposób - spojrzała na sędziego - cała rzecz została w końcu ujawniona?

- Rebecca Owens, córka Rosemary, znalazła dziennik swej zmarłej kilka miesięcy temu matki. Mam tu kopię tego pamiętnika. Proszę bardzo, jest do wglądu.

- Henry przesunął skserowany plik w stronę Clair.

- Rosemary opisała w szczegółach wszystko, co zaszło w tamten tragiczny wieczór oraz w czasie następnych tygodni. Zdaje się, że sporządziła ten dokument na wypadek, gdyby William chciał ją straszyć albo czymś obciążyć. Rebecca skontaktowała się z Lucasem, twoim

kuzynem, a on zatrudnił mnie do prowadzenia sprawy. Łatwe było odszukanie Randa i Seta, natomiast gdyby nie pan Carver, to znaczy Jacob, prawdopodobnie ciebie nie udałoby nam się wytropić. - Sędzia Barnes uśmiechnął się. - Brawo, detektywie Carver.

- Racja, racja. - Clair spojrzała na Jacoba. - To była dobra robota. - I też się uśmiechnęła.

Mam ci dużo więcej do zawdzięczenia, posłała mu cichą myśl. Sto razy więcej! Jaka szkoda, że to już ostatnie chwile razem...

Odwróciła głowę. Nie, nie: teraz nie wolno myśleć o rozstaniu, ponieważ grozi to zupełnym rozklejeniem się. Później będzie czas na takie rzeczy - na ból i na łzy.

Zebrała się w sobie. Zaciśnęła zęby. A więc wiadomo już, co się stało... Pozostaje ostatnia kwestia, być może w tym wszystkim najważniejsza.

- Dlaczego... - zaczęła cicho - stryj zainicjował coś tak skomplikowanego i okrutnego względem nas? Czemu nas porozdawał?

- Motywacja jest banalna - westchnął Henry - i podobna jak w wielu tego typu przestępstwach. Chciał zagarnąć wasz majątek. Oto oryginalny testament twojego dziadka. - Posunął w stronę Clair opatrzony lakowymi pieczęciami papier. - Testament przewiduje podział posiadłości Blackhawków między trzech synów. Niestety, Williamowi udało się zawczasu ukryć ów dokument. Sfabrykował natomiast fałszywy, na mocy którego to on miał dziedziczyć całość.

Clair przyzwyczajona była do obcowania z dużymi sumami; na jej własnym koncie znajdowało się sporo pieniędzy. Jednak zajrzawszy teraz do testamentu, zrobiła okrągłe oczy.

Wyglądało na to, że miałyby po Jonathanie Blackhawku dostać aż pięć milionów dolarów!

Ręka jej drżała, gdy zwracała dokument sędziemu. Ale co tam, pieniądze nie są najważniejsze. Wiedziała dobrze, iż są w życiu rzeczy, których nie da się kupić za żadną cenę.

- William... - Już samo wymawianie tego imienia sprawiało jej przykrość. - Czy William zostanie aresztowany?

- Zostałby, gdyby żył - powiedział Henry. - Zginął jednak razem z żoną dwa lata temu w katastrofie ich awionetki... A co się tyczy ich syna... Dillon jako siedemnastolatek opuścił Wolf River i nie wiadomo, gdzie jest. Twoi bracia spierają się, czy warto go w ogóle szukać. Zdaje się, że czekali na twój przyjazd, aby to ostatecznie rozstrzygnąć.

Moi bracia.

Cóż za nagły zysk! Byłam sama, a mam braci!

- Kiedy ich zobaczę? - zapytała.

- Choćby zaraz - uśmiechnął się Henry.

- Zaraz? - Clair spłoszyła się trochę. Spojrzała na Jacoba. - Są gdzieś tutaj?

Jacob skinął głową.

- Czekają na zewnątrz. - Zaczął wstawać z krzesła.

- Chwileczkę, nie tak prędko. - Pociągnęła go z powrotem. - Muszę się przygotować... Henry - zwróciła się do sędziego. - Daj mi pięć minut czasu, dobrze?

- Pięć albo więcej; ile zechcesz. - Wstał ze swego fotela i nie mówiąc nic więcej, wycofał się z pokoju.

- Jacob, ja się trochę boję... - Clair wyciągnęła rękę.



- Nie wiem, dlaczego...

Ujął ją za rękę i pociągnął ku sobie.

- Chodź - powiedział. Uchwycił ją w pasie i posadził sobie na kolanach.

Objęła Jacoba za szyję i przytuliła twarz do jego policzka. On pokołysał ją trochę, potem pocałował w skroń.

- Człowiek bywa w rozterce - znów ją pocałował - gdy zamyka się cały rozdział jego życia.

Zajrzała mu w oczy. Uśmiechnęła się.

- Mądry z ciebie chłopak.

Pomyślała któryś już raz, że nie powinni się rozstawać. Ale skoro los tak chce... Trudno sprzeciwiać się losowi.

- I co, teraz lepiej? Czujesz, jak się przeistaczasz z Beauchampa w Blackhawka?

Zmierzwiała mu włosy na głowie.

- Czuję, czuję. - Zaczęła wstawać. - No, już jestem dzielna. Wołaj braci.

Jacob ruszył do drzwi. Clair nabrała powietrza do płuc. Szybko wygładziła na sobie bluzkę.

Drzwi się otwarły, a za nimi ukazali się od razu dwaj rośli, ciemnowłosi i niebieskoocy mężczyźni.

Spotkały się spojrzenia wszystkich czworga.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

Clair poczuła mrowienie w krzyżu.

Przemogła się i uśmiechnęła.

Dwaj bracia za progiem też się uśmiechnęli. Ramię w ramię weszli do gabinetu.

- Lizzie! - zawołał ten po prawej stronie. To musi być Rand, pomyślała.

Nie tamowała łez. Rzuciła się naprzód. Cała trójka splotła się ze sobą ramionami. Znam ich, przecież znam, pulsowało w głowie Clair. Nie, nie w głowie, raczej w duszy, w sercu.

- Rand, prawda? - Podniosła wzrok na pierwszego. - A ty jesteś Seth. Potwierdzili, wzruszeni jak ona.

I znów się ze sobą spleli, wypowiadając urywane zdania, całując policzki, śmiejąc się z radości, nie pamiętając o reszcie świata.

Clair przypomniała sobie jednak w końcu, że jest tu jeszcze i ten czwarty. Odstąpiła krok, pragnąc przedstawić Jacoba. Rozejrzała się. Jacob zniknął.

No nie, przecież to nie w jego stylu: odejść bez pożegnania. Zapewne chciał być jedynie dyskretny; wycofał się, żeby nie przeszkadzać rodzeństwu. Musi być gdzieś w pobliżu. Rozglądała się bezradnie. Tyle radości w sercu i nagle - smutek.

Jacob siedział przy małym narożnym stoliku w restauracji hotelu przy tej samej ulicy, przy której mieściło się biuro prawnicze Beddinghama, Barnesa i Stephena. Lokal szybko się zapelniał; schodzili się wciąż nowi ranczerzy w kowbojskich kapeluszach. Jacob uzmysłowił sobie, że przed wejściem do hotelu zauważył tablicę informującą o zjeździe hodowców bydła wschodniego Teksasu.

Siedział tu już z półtorej godziny, sącząc powolutku drugie piwo i próbując się skoncentrować na meczu bejsbolowym, transmitowanym w telewizji.

Podeszła do niego kelnerka, pytając, czy nie podać czegoś więcej. Miała plaketkę z napisem „Michelle” oraz wiele innych zalet, które doceniłby w każdej innej sytuacji. Teraz jednak nie w głowie mu były flirty.

- Na razie nie, dziękuję - powiedział. - Czekam na kogoś.

- Długo pan czeka. - Spojrzała na swój mały zegarek. - W razie czego jestem do usług - uśmiechnęła się zalotnie.

Pokiwał głową, nie zmieniając wyrazu twarzy, zdziwiony, do jakiego stopnia nie ma ochoty na flirt.

Bo cały czas myślał tylko o Clair.

Gdy opuścił biuro sędziego, skierował się tu, aby ją zameldować. Henry zapewnił go, że to najlepszy hotel w mieście. Jacob wyobraził sobie, że będzie jej przyjemnie zaznać odrobiny luksusu po tych wszystkich prowincjonalnych zajazdach, z wygniecionymi materacami i spranymi ręcznikami. Zdążył już posłać jej bagaże na górę, przez boya hotelowego. Sam postanowił nie oglądać pokoju, by uniknąć pokusy zostania w nim.

Zostać z nią. Lecz w jakiej roli miałby to teraz zrobić?

Pokręcił głową i westchnął. Trudno, ich światy nie pasują do siebie. Ta dziewczyna była zbyt bogata, gdy ją poznawał, a teraz jest jeszcze bogatsza.

A on, kim jest? Wędrownym tropicielem, żyjącym z pracy. Jest jeźdźcem znikąd, prawie bezdomnym. Chyba już od miesiąca nie oglądał

swego mieszkania w New Jersey... A może dłużej? Nie przywykł zbyt dokładnie liczyć swego czasu, podobnie jak pieniędzy.

Spojrzał na zegarek. A kiedy podniósł głowę, zobaczył, że do restauracji wchodzi wreszcie Clair. I serce mocno mu zabiło.

Do licha! Żadna kobieta nie przyprawiała go o takie bicie serca...

Clair meandrowała chwilę przez tłum ranczerów. Pomachała ręką Jacobowi, wreszcie usiadła naprzeciwko i miło się uśmiechnęła.

- Cześć.

- Rozumiem, że wszystko poszło dobrze?

- Było wspaniale! - Pochyliła się do przodu. - Oni są wspaniali.

Naprawdę czuję, że to moi bracia. Seth jest - a w każdym razie był - detektywem, jak ty. Tylko że policyjnym. Rand hoduje konie, a ostatnio porządkuje ranczo naszego ojca, tu pod miastem. I obaj mają się żenić.

Twarz Clair jaśniała; w oczach miała radość. Jacob pomyślał, że panna Beauchamp nigdy jeszcze nie wyglądała tak ładnie jak teraz.

- A kuzyn Lucas - ciągnęła Clair - zaprasza nas wszystkich dziś wieczorem do siebie na kolację. - Jest żonaty, ma trzyletnie bliźnięta, dziewczynkę i chłopca. I ma jeszcze całkiem małego dzidziusia, Thomasa. O, a ten hotel, w którym teraz jesteśmy, to jego własność, wiesz?

- Clair...

- Hanna, narzeczona Seta - Clair nie mogła przestać mówić - ma też bliźnięta, pięcioletnie, dwie dziewczynki. I wszyscy mamy się spotkać dziś wieczorem. - Spojrzała na zegarek. - To już za dwie godziny! Trzeba się zacząć przebierać, wziąć prysznic... - Podniosła głowę. - Chodź, Jacob.

- Clair, ja nie mogę... Uśmiech zamarł jej na ustach.

- Jak to?

- Jutro wcześniej rano mam spotkanie w Dallas. Muszę zaraz ruszać w drogę.

- Ach tak. Rozumiem. - Przyglądała mu się dłuższą chwilę. - W porządku.

W porządku... Powiedział sobie, że to nawet lepiej, iż nie słyszy od niej żadnych wyrzutów... A jednak zwykle „w porządku” nie było tym, czego oczekiwał.

Do diabła, a czegoż właściwie oczekiwał? Że ona się rozplącze, poskarży... ?

Nie, nie. Wcale by tego nie chciał.

I wobec tego ma to, czego chciał.

Po prostu się rozstają.

Clair wyciągnęła rękę.

- Jacob... Szkoda, że to tak nagle... Ale ja próbuję cię zrozumieć. I chcę, żebyś wiedział - ścisnęła go mocniej - że mnóstwo ci zawdzięczam. Więcej niż mnóstwo.

Puściła jego rękę, wtedy on sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął klucz hotelowy.

- Zarezerwowałem pokój - powiedział. Usłyszał rozdrażnienie we własnym głosie, gdy wymawiał te słowa. - Bagaż masz już na górze.

Clair wstała. Pochyliła się; musnęła ustami jego policzek.

- Dziękuję, Jacob... - Zajrzała mu w oczy. - ...Za odszukanie mnie. Za przywiezienie tutaj. Za wszystko. To była niezwykła przygoda.

Po chwili odwróciła się i odeszła między stolikami. On siedział i patrzył za nią, i widział, jak inni patrzą, bo czyż Clair mogła nie przyciągać męskich spojrzeń?

„To była niezwykła przygoda”, rozbrzmiewało w jego głowie.

Długo spoglądał w ślad za Clair. Potem sięgnął po niedopite piwo i wychylił je niemal jednym haustem.

Prawie jak spod ziemi wyrosła kelnerka.

- Przynieść jeszcze jedno? - zapytała.

Nawet nie podniósł głowy. Podziękował tylko, wstał i ruszył do wyjścia.

RS

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Clair, ze szklanką lemoniady w ręku, chłoneła to wszystko, co się działo na trawniku przed domem Lucasa. Dzieci goniły za piłką, Rand i Seth komentowali jakiś mecz bejsbolowy, a sam Lucas, owiany dymem, obracał właśnie steki na grillu ogrodowym.

- Miło mieć was wszystkich razem - powiedziała do niej Julianna, żona gospodarza. Nikt by nie zgadł, że ta blondynka ledwie miesiąc temu urodziła dziecko.

- Właśnie, właśnie - dołączyła się Hanna, narzeczona Setha, umieszczając na drewnianej ławie misę z sałatą. - Co za historia! - Wyprostowała się. - Fabuła jak z serialu. To, żeśmy się wszyscy zjechali tutaj...

- ...I nieprędko się rozstaniemy, prawda? - wpadła jej w słowo Grace, która wyniosła z domu koszyk z chlebem. Narzeczona Randa miała długie, kasztanowe włosy i niebieskie oczy, jak zresztą wszyscy tu zgromadzeni.

Z wyjątkiem małego Thomasa - który wdał się w indiańskich przodków i był czarnookim szatynem, o ile można coś tak zdecydowanego powiedzieć o czterotygodniowym osesku.

Thomas właśnie zapłakał, to znaczy dał się słyszeć jego głos z automatycznej niańki, aparaciku leżącego na ławie.

- Może ja go przewinę? - zaofiarowała się Hanna.

- Pozwól...

- Proszę bardzo. - Julianna wskazała ręką otwarte drzwi. - Ty zdaje się sama wkrótce będziesz miała małego Blackhawka?

- Rzeczywiście - przyznała Hanna. - Zastanawiamy się z Sethem, czy nie zaludnić wszystkich pokoi dzidziusiami, gdyby mój pensjonat nie miał powodzenia. - Kończąc tę myśl, puściła oko do Clair.

Jakie one szczęśliwe... Clair westchnęła w duszy. Mają swoje domy, swoich ukochanych; a ja?

Hanna i Julianna ruszyły razem w stronę domu. Clair została sama z Grace.

- Słuchaj... - zaczęła Grace. - Wydaje mi się, że posmutniałaś. Czy coś się stało?

Clair schyliła się, zaczęła poprawiać sandał.

- Nie, skądże! - Claire podniosła głowę. - Nic się nie stało.

- Ej - Grace nie ustępowała. - Ja mam dobre oko.

- Podeszła i wzięła Clair za rękę. - Pozwierzaj się trochę. Chodź - pociągnęła ją delikatnie. - Schowamy się gdzieś na pięterku.

Clair pozwoliła się zaprowadzić do pokoju bliźniaków Julianny. Zasiadły na małych krzeselkach.

- A więc krótko mówiąc, tęsknisz za nim - zaczęła Grace.

Clair spojrzała spłoszona. Skąd ona może o tym wiedzieć?

- Nie martw się. - Grace nachyliła się ku niej. - Przecież to wszystko jeszcze się ułoży... Może zaprosimy go tutaj?

- Już zapraszałam... - Clair poczuła, że wilgotnieją jej oczy.

- I co, Oliver...

Oliver? Ach tak, jej się wydaje, że... Nagle Clair zachciało się śmiać.

Grace, zdezorientowana, ściągnęła brwi. Odczekała chwilę, potem próbowała kontynuować.



- Słyszałyśmy wszystkie o odwołanym weselu... -Znów ściągnęła brwi. - Co ci tak wesoło?

Clair śmiała się teraz otwarcie, ocierając wierzchem dłoni łzy. Łzy żalu i rozbawienia.

- Z czego się śmiejecie? - Julianna zajrzała przez uchylone drzwi.

- Ja się nie śmieję - z godnością stwierdziła Grace i wzruszyła ramionami.

Na progu pokazała się też Hanna, trzymając na ręku małego Thomasa.

- Co się stało?

- Z Oliverem nic mnie już nie łączy. - Clair spoważniała. - Naprawdę. Macie nieaktualne informacje. Kocham się w Jacobie, jeśli chcecie wiedzieć.

Grace wysoko uniosła brwi. Julianna i Hanna spojrzały jedna na drugą, a potem obie na Clair.

- Aaa... - powiedziały równocześnie.

- Julianno... - Grace wstała. - Wiesz co? Powiedz Lucasowi, żeby poczekał jeszcze chwilę z tymi stekami. My dołączymy za pięć minut.

Clair także wstała.

- Bardzo was proszę, nie róbcie zamieszania z mojego powodu. - Rozejrzała się i dodała: - Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

- Nie sprawiasz kłopotu... - zaczęła Grace, podczas gdy Julianna opuszczała pokój. - Jesteśmy w końcu rodziną. I chcemy się nawzajem rozumieć. Może byś nam opowiedziała coś więcej o Jacobie?

- Tak, tak, opowiedz - przyłączyła się Hanna, przysiadając z Thomasem w objęciach na jednym z tapczaników bliźniąt.

Clair zawahała się.

- Ale teraz chyba tylko zacznę... Przecież oni tam na dole czekają.  
Grace i Hanna zgodnie pokiwały głowami.

Jacob wbił gwóźdź w ościeżnicę, po czym chwycił ramę okienną i potrząsnął nią, sprawdzając solidność połączenia. Dom był na razie tylko szkieletem z drewna, jednak szybko nabierał kształtu. Położono już strop pierwszego piętra, gotowa była więźba dachowa; lada chwila miało się zacząć krycie. Zewsząd dobiegały wizgi pił i wiertarek; klekotały młotki. Unosił się zapach trocin, zaprawy, impregnatów. A po niebie płynęły sobie białe obłoczki, z rzadka przesłaniając gorące, teksańskie słońce.

Jacob otarł pot z czoła. Odłożył młotek i ruszył po następną ramę okienną. Zastanowił się, kiedy to ostatni raz pracował rękami? Ach, racja, przecież całkiem niedawno, w Liberty, przy naprawie samochodu. Jednak od bardzo dawna nie miał okazji robić nic do spółki z Evanem, swoim bratem.

- Hej, widzę, że oklapłeś. - Evan wychynął zza sterty desek. - Może wody? - Nie czekając na odpowiedź, ruszył do pikapa i po chwili wrócił z dwiema butelkami.

Pili, popatrując na rozległy plac budowy, obejmujący trzy identyczne domy, wznoszone w tej chwili przez przedsiębiorstwo Carver Construction.

Evan jest w swoim żywiole, pomyślał Jacob. Dobrze też wygląda. Wydaje się zrelaksowany, pewny siebie. Ma zamówienia. W dodatku niezły z niego bawi-damek. Zadaje szyku w tej bandance na głowie. Dziewczyny lubią takich desperados w chustkach. Chyba lubią; co najmniej trzy przewinięły się tu w ostatnim tygodniu.

- No i...? - Evan skończył pić. Otarł sobie wierzchem dłoni usta. -  
Może mi wreszcie powiesz, czemu zawdzięczam twą nagłą pomoc? Jakiej  
wiatry cię tu przywiały? Uciekasz przed prawem czy przed kobietą?

Jacob wzruszył ramionami. Ależ ten chłopak ma intuicję. Odstawił  
pustą butelkę i podszedł do stelażu z oknami.

- Słuchaj, braciszku - odwrócił głowę. - Musisz mnie tak przyciskać?  
Chciałem cię po prostu zobaczyć i... Ale jeśli tutaj zawadzam...

Evan zmarszczył nos i zaczął węszyć, jakby był psem na tropie.

- Kobieta. Więc jednak kobieta. - Skinął głową.

- No i co z tego? Każdy kiedyś musi wpaść w takie sidła. Nie  
uważasz?

Jacob przełożył sobie framugę okienną przez ramię. Zrobił w tył  
zwrot, ale namyślił się i zdjął ciężar.

- Jakie sidła, do cholery? - skrzywił się.

Evan uśmiechnął się złośliwie.

- Mój wielki starszy brat wpadł. Przycisnęło niezłomnego.

- Absolutnie nie - wydał usta Jacob. I od razu poczuł, że zbyt  
energicznie zaprzecza, aby mógł być wiarygodny. - No... - Poruszył  
brwiami. - Dobra. Może i wzięło mnie, ale tylko na chwilę. Było, minęło.

- Uhm. Widzę to. - Evan splótł ramiona na piersi. -I dlatego nie  
jedziesz do Jersey, tłuczesz się gdzieś po świecie albo tłuczesz młotkiem w  
gwoździe na występkach gościnnych u brata.

Jacob potarł w zakłopotaniu podbródek.

- Do diabła, nie ogoliłem się - zauważył. - W każdym razie nie  
uciekam - pokręcił głową. - Rozstałem się z nią z rozsądku. Nie  
pasowaliśmy do siebie.

- Z rozsądku? Słyszałem o małżeństwach z rozsądku, ale...

Jacob przestąpił z nogi na nogę. Zacisnął zęby. Rozejrzał się, jakby szukał natchnienia w krajobrazie.

- Jezu! - Przeczesał ręką włosy - Ona się bawi w kotyliony, dasz wiarę?

- W ko... co? - Evan szeroko otworzył oczy.

- No właśnie. - Jacob ponuro zwiesił głowę. -W to... A zresztą - machnął ręką - tak czy owak, nie pasowaliśmy do siebie.

Evan postąpił krok naprzód i uczynił taki gest, jakby chciał objąć brata. Zatrzymał się jednak, potem obrócił się ku budynkowi.

- Hank! - krzyknął głośno. - Hank! Gdzie jest ten mój brygadzysta... - zamruczał. - A, tutaj. No więc powiedz chłopakom, że robimy fajrant. Płacę jak za całą dniówkę. A wieczorem postawię wszystkim kolejkę.

W parę chwil ucichły wiertarki, piły i młotki hałasujące na budowie. Załoga się wyniosła. Evan i Jacob zostali sami.

- No, jak tak - Jacob zaczął luzować pas monterski, którym był opięty - to może... Słuchaj, nie masz tam w pikapie jakiegoś piwa?

Evan bez słowa ruszył do samochodu. Po chwili z daleka cisnął w Jacoba puszką heinekena. Sam, idąc, otwierał sobie drugą.

Przysiedli obaj na stosie belek.

- A teraz już gadaj. Mów, co cię gniecie. No! - ponaglił Evan.

- To skomplikowana historia. - Jacob przybliżył puszkę do oczu, jakby chciał dokładnie przeczytać wszystko, co na niej napisano.

- Od kiedy cię znam - skrzywił się Evan - przytrafiają ci się w życiu same komplikacje. Nic nowego. Zacznij może od tego, jak się ta panna nazywa.

- No właśnie! Nawet i to nie jest proste. Ale dobra! Spróbuję zacząć od początku. Otóż dwadzieścia trzy lata temu...

„Pappa Pete” mieścił się na rogu Głównej i Szóstej. Ta restauracyjka w stylu lat pięćdziesiątych istniała tu... no cóż, od lat pięćdziesiątych. Lśniła chromem i szkłem, kontuary miała z białego syntetyku; kanapy w boksach pokryto czerwonym skajem. Jedzenie było dobre, ceny - rozsądne. Do tego - miła obsługa.

Rand, Seth i Clair kończyli lunch. Clair zamówiła dla siebie na deser krem czekoladowy z porcją bitej śmietany.

Skończył się właśnie tydzień wielorakich rodzinnych imprez. Rodzeństwo dwa razy odwiedzało prawnika, aby sfinalizować formalności dotyczące podziału spadku. Odbył się ostatni przed zamążpójściem „wieczór panieński” Grace i Hanny. Ochrzczono także małego Thomasa.

Clair kręciło się w głowie od tych ceremonii, ale dziękowała losowi za nie, bo w efekcie mogła nie myśleć o Jacobie.

Myślenie o nim sprawiało jej ból.

- Jak go dorwiemy, skopiemy mu tyłek - odezwał się ni stąd, ni zowąd Rand.

Clair zamrugała oczami. Jakim cudem brat zgadł, nad czym w tej chwili medytowała? Seth pokiwał głową.

- Jasne. Nie widzę przeciwwskazań.

Wodziła spojrzeniem od jednego do drugiego. Przecież była ostrożna i przez ten tydzień naprawdę starała się panować nad uczuciami. Poza tym bracia nie byli wprowadzeni w szczegóły, choć oczywiście dotarło do nich, że siostra jest zakochana.

- Hej, dzięki za dobre chęci, ale... - wzruszyła ramionami - nic mi nie jest.

Rand uniósł brwi.

- Czyżby? Seth westchnął.

- Ta dziewczyna myśli, że my jej nie obserwujemy. Ciężko jej na sercu. Nawet tego kremu nie zje, co go teraz zamówiła. - Spojrzał z wyrzutem i popukał palcem w kryształowy pucharek.

Musiała się uśmiechnąć. Byli jej tacy bliscy! Dwadzieścia trzy lata rozłąki minęły jak zły sen. Wczoraj pojechali razem do kanionu Cold Springs, tam gdzie zginęli rodzice i gdzie oni sami omal nie przenieśli się na tamten świat. Stanęli na skraju wąwozu, wzięli się wszyscy za ręce i uczcili chwilą ciszy pamięć ojca i matki. Na Clair spłynął wówczas wielki spokój i wydało jej się, że dusze rodziców są także w tym miejscu z nimi.

Na wspomnienie owej chwili napłynęły jej do oczu łzy.

Rand poruszył się.

- No właśnie. Mówi, że nic jej nie jest, a płacze. Seth podał Clair papierową chusteczkę.

- Skopiemy mu tyłek, siostrzyczko, jak amen w pacierzu.

- Chłopcy, ja nie z tego powodu... - Pokręciła głową. - To dlatego, że ja... obu was tak bardzo kocham.

Bracia spojrzeli po sobie. Miło im było słyszeć to wyznanie, szkoda tylko, że zabrzmiało jakoś tak... sprytnie?

Seth pochylił się ku niej.

- Jak tak kochasz, to może oddałabyś mi swój krem czekoladowy?

Clair szybko schwyciła pucharek.

- Tknij - pogroziła palcem - a zobaczymy, kto będzie pierwszy miał skopany tyłek.

Roześmiali się wszyscy.

Rand sięgnął przez stół i pogłaskał ramię siostry.

- My też cię kochamy, Liz.

Powiedział: Liz... Przez cały tydzień bracia starali się nazywać ją Clair, ale tamto dawne imię, Elizabeth, „wisiało w powietrzu". Ile razy Rand albo Seth zaczynali je wymawiać, tyle razy coś łąpało Clair za gardło.

Wiele wzruszeń zdążyła przeżyć w Wolf River przez te siedem dni.

No tak, a teraz czuła, że przyszła pora na uporządkowanie spraw w Charleston.

Miała już nawet zarezerwowane bilety na jutrzejszy lot do domu. Jak przyjmą ją rodzice? - zastanawiała się. Co powiedzą na jej zamiar przeniesienia się na stałe do Wolf River? Telefonowała do nich i było jej przyjemnie, że nie usłyszała obrażonych głosów, że z tamtej strony popłynęły same słowa troski i miłości.

Po paru łyżeczkach odstawiła pucharek.

- Seth, wygrałeś - powiedziała. - Krem jest twój. Przypomniało mi się, że... umówiłam się o drugiej w hotelu z Grace i Hanną. Obiecały mi pokazać swoje suknie ślubne... Taka tam babska przymiarka. Ale o ósmej - popukała w zegarek - pamiętajcie: macie być u mnie na kolacji. Ja stawiam.

Obaj bracia pokiwali głowami.

Ślub Blackhawków zaplanowany został na pojutrze, w tym samym kościele, w którym przed laty pobrali się Jonathan i Nora. Clair jutro

zamierzała namawiać swych rodziców, aby przybyli na wesele do Wolf River.

Poszła do swego hotelu. Oddychała głęboko. W powietrzu czuło się już pierwszy smak jesieni. Do święta Halloween zostały tylko trzy tygodnie. Wystawy sklepów poozdabiano kłosami i strachami na wróble.

Co parę kroków ktoś pozdrawiał Clair albo machał do niej ręką. Mijająca ją niebieskim pikapem kelnerka z „Pappa Pete” zatrąbiła. Wydawało się, że wszyscy w Wolf River słyszeli o historii rodzeństwa Blackhawków. No tak, były przecież jakieś artykuły w lokalnej prasie, z fotografiami...

Clair coraz bardziej czuła, że należy do tego miejsca. W ciągu paru dni zapuściła tu korzenie. W każdym razie tak jej się wydawało. Szkoda tylko, że Jacob... Ach, racja! Przystanąła.

Przecież jest ten film do odebrania.

Na skrzyżowaniu przed hotelem przecięła ulicę i weszła do sklepu, w którym zamówiła odbitki.

Dziś rano zamierzała wyrzucić błonę, żeby się nie ranić wspomnieniami. Cisnęła ją nawet do kosza na śmieci. Ale po kwadransie zmieniła zamiar. Film wylądował u „Kodaka” i teraz powinien być gotowy.

I rzeczywiście był gotowy.

Po paru minutach siedziała już u siebie w hotelu i drżącą ręką rozrywała firmową kopertę. Wyjęła plik zdjęć.

Te z wierzchu przedstawiały krajobrazy, które uwieczniła w trakcie jazdy samochodem. Były więc pola lucerny, zabytkowa stodoła, wrak traktora obrośnięty winoroślą...



Serce zabiło w niej żwawiej, gdy ujrzała zdjęcie, które Jacob zrobił jej pod prysznicem. Dobrze, że to tylko twarz, pomyślała.

Potem były obrazki z Jacobem przy kierownicy, dalej Dorothy, recepcjonistka z motelu, ta co prosiła, żeby pozdrowić jej kuzynkę Angie w Wolf River. I znów jakieś fotografie zrobione podczas jazdy samochodem. O, a teraz Jacob pod prysznicem. Niestety, również tylko twarz... Clair westchnęła i zamyśliła się.

Po chwili wróciła do oglądania zdjęć.

Przerzucała je szybko, spoglądając na zegarek i już była blisko końca, gdy nagle przykuły jej uwagę jakieś kadry nocne. Czyżby Jacob lunatykował z aparatem? - pomyślała. Przybliżyła jedno z ujęć do oczu.

A któż to? Oliver i Susan! Nie do wiary! Spojrzała na automatyczny datownik. Szybko policzyła i wyszło jej, że to noc tuż przed jej ślubem.

Oliver i Susan.

Zacisnęła zęby. Sięgnęła po następne odbitki. Jej kandydat na męża i najlepsza przyjaciółka całują się pod motelem. A tu obejmują się na parkingu. On trzyma ją, no tak, za pośladek.

Z ust Clair wydobyło się ciche przekleństwo.

Ależ była idiotką! Choć na szczęście nie do końca... Pogratulowała sobie szczególnej intuicji, która kazała jej zrobić w kościele w tył zwrot i...

Ale zaraz...

Przecież to znaczy, że Jacob od początku o wszystkim wiedział!

Zagryzła wargi i zaczęła zbierać zdjęcia.

Wiedział i nic nie powiedział. Widział, jak ona się męczy, bije z myślami, cierpi, a nie chciał jej ulżyć.

Poczuła, że ogarnia ją złość.

Był posiadaczem intymnej prawdy o jej sprawach, a nic nie wyjawiał, bo oczywiście chciał górować nad nią... Bawił się nią tylko!

Zerwała się z kanapy. Czuła, że krew mocno tętni jej w skroniach. Dobrze, panie Carver, będziemy się musieli z sobą jeszcze policzyć! Gdzież to jest numer komórki Jacoba...

W tym momencie rozległo się pukanie. Clair z furją zrobiła parę kroków i chwyciła za klamkę. A więc dziewczyny już przyszły, świetnie. Opowie im zaraz... Z rozmachem otworzyła drzwi.

- To ty?!

Na progu stał Jacob.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem.

Oj, niedobrze, Jacob przestąpił z nogi na nogę. Mógł się spodziewać różnych rzeczy, łez, radości, również złości, ale nie furii!

- Clair, co się sta...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Z tą samą energią co przy otwarciu, spróbowała zatrzaskać drzwi.

On jednak złapał klamkę. Zdołał się wedrzeć do środka.

Clair odwróciła się i bez słowa podeszła do stolika. Złapała plik odbitek i cisnęła nimi w Jacoba.

Odruchowo zasłonił się ramieniem.

- Jezu! Co za diabeł w ciebie...

Urwał. Przypadkiem jedno ze zdjęć nocnych upadło mu do stóp.

I od razu zrozumiał.

Cholera. Niech to wszyscy diabli! Zupełnie zapomniał o tych zdjęciach z Oliverem i jego kochanką. Gdyby pamiętał, nie zostawiłby filmu Clair.

No i nic dziwnego, że jest taka wściekła.

A ona, skrzyżowawszy ramiona, piorunowała go teraz wzrokiem.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?!

Jacob oparł się plecami o ścianę. Cóż miał na swoją obronę? Chyba tylko prawdę. Westchnął.

- Postąpiłem tak w najlepszej wierze. Po tym, co się stało w kościele, chciałem ci oszczędzić...

- Dość! - tupnęła nogą. Ruszyła w jego stronę jak do natarcia. - Widziałeś, że czuję się winna, że martwię się o Olivera, który został sam przy ołtarzu, podczas gdy naprawdę sypiał sobie z Susan, moją najlepszą przyjaciółką. ..

- Czekaj, czekaj - wyciągnął rękę. - Nic by to nie dało, gdybym ci powiedział. Było ci przykro, że całe życie oszukiwali cię rodzice, i co, miało się okazać, że kłamał także twój kandydat na męża i tak zwana najlepsza przyjaciółka? To by cię dobiło.

- Dobiło! - prychnęła Clair. - Wolę zawsze najgorszą prawdę od najlepszego kłamstwa. - Po tych słowach odwróciła się i obronnym gestem objęła ciasno sama siebie rękami. Potem nagle znów się obróciła. Spojrzała na Jacoba. - Oliver... wiedział, że ty wiesz, tak? I dlatego ścigał cię telefonami?

Pokiwał głową. Zgadza się... A jaka ona śliczna w tym gniewie, nie mógł nie pomyśleć. Oczy miotają skry, policzki są zaróżowione, cała postać jest pełna energii...

- I dzwonił z propozycją... - zastanawiała się na głos - jakiegoś okupu? Za milczenie?

- Zgadłaś - odparł krótko.

- Ile dawał?

- Dwadzieścia pięć tysięcy.

Clair zamurowało.

- Ile? Dwadzieścia pięć tysięcy?!

- Właściwie nawet czterdzieści pięć. Bo jeszcze dwadzieścia miał dorzucić, jeśli dostarczę cię natychmiast z powrotem do Charleston.

Clair poczuła, że jest jej trochę słabo. Za jej plecami handlowano nią, jak na targu niewolników. Odwróciła się i ruszyła w stronę kanapy. Usiadła na niej, spuściwszy głowę. Miejsce gniewu zaczęło w niej zajmować rozżalenie, ale takie bez dna.

- I co, ty nic nie wzięłaś...? - Raczej stwierdziła to, niż zapytała. Wiedziała, że tak jest, wyczytała to w jego oczach, poczuła w sercu. - A... dlaczego? - Spojrzała z odrobiną zaczepki.

Oderwał się od ściany i zrobił kilka kroków.

- Clair, daj spokój - powiedział. - Naszalałaś się, i wystarczy. Nie masz mnie chyba za łotra?

Patrzyła na niego bez słowa.

- A przyjechałeś teraz... - zawiesiła głos. - Żeby mi opowiedzieć o Oliverze?

- Nie. - Podszedł całkiem blisko, ujął ją za ramiona i dźwignął ku sobie z kanapy. - Wracam właśnie od brata z Kettle Creek, gdzie prowadzi budowę, i...

- Mówiłeś, że jedziesz, do Dallas - wpadła mu w słowo. - Że masz tam jakieś spotkanie.

Położył jej palec na ustach.

- Miałem spotkanie... Takie tam... jeszcze jedno zlecenie, które naraził mi Henry. Ale nie wziąłem tej roboty. Zamiast tego pojechałem do Evana. Nie widziałem brata kawał czasu.

Clair spodobało się nagle, że Jacob miał przyływ uczuć rodzinnych. Może warto będzie o tego rodzaju uczuciach szerzej porozmawiać? Ale nie teraz, teraz co innego jest ważniejsze.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie - przypomniała. Tłumiła w sobie nadzieję, że może on jednak... Ale czy rzeczywiście?... Tak czy owak, nie rzuci mu się pierwsza w objęcia. - A więc po co przyjechałeś?

- Po ciebie, Clair. Oczywiście po ciebie.

- Po mnie?

- Jasne. - Uśmiechnął się do niej - Im dalej odjeżdżałem od Wolf River, tym bliżej ciebie byłem myślami. I ostatecznie dotarło do mnie, że muszę wrócić.

Rozjaśniła się. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz on ją wyprzedził.

- Nie jest mi łatwo, Clair. - Ujął jej policzek swoją dużą dłoń. - Górujesz nade mną wykształceniem, pozycją społeczną, majątkiem... Zaslugiwałabyś na kogoś lepszego niż ja. I dlatego...

- Jacob...

- Wiem, wiem. To nie jest najważniejsze. Też do tego doszedłem. - Skinął głową. - Oświeciło mnie w końcu, że mogę być twoim partnerem. Kiedy pracowałem z Evanem na budowie, pomyślałem, że ludzkie życie potrzebuje dobrych fundamentów i konstrukcji, tak jak każdy dom. I że ja potrafiłbym naszemu życiu dać właśnie fundament i konstrukcję.

- Jacob, więc ty...

- Tak, panno Beauchamp, albo Blackhawk, jeśli wolisz. Wróciłem, aby cię prosić o rękę. Kocham cię. Chcę mieć z tobą dom i dzieci i biały płótek dookoła trawnika, i pianino, i chomika. Możemy sobie nawet urządzać od czasu do czasu zabawę w kotyliona, czemu nie.

W Clair błyskawicznie miękło serce. I nie tylko serce; zmiękły jej także kolana. Rozejrzała się za czymś, na czym mogłaby usiąść. Jednak Jacob nie wypuszczał jej z objęć. Szukał jej spojrzenia. Czekał na jakąś odpowiedź.

- Wiem, że byłem głupi stawiając na pierwszym miejscu swoją dumę - zaczął znów mówić. - Ale teraz proszę cię, słyszysz? Błagam... Clair, powiedz, że też mnie kochasz. I że wyjdiesz za mnie.

Wsparła się na jego piersi. Objęła go za szyję. I ni to zaśmiała się, ni załkała.

- Oj, ty mój niedobry chłopaku. Jasne, że i ja cię kocham. - Pocałowała go w usta. - I wyjdę za ciebie, kiedy zechcesz.

Oddał pocałunek. Potem przymknął oczy.

- Bogu dzięki - zamruczał. - A już się bałem, że cię straciłem... zgubiłem.

- Nie zgubiłeś mnie - szepnęła. - Tylko odnalazłeś. Nie pamiętasz? Wszystko się zaczęło od tego, że mnie odnalazłeś.

Pokiwał głową z uśmiechem.

- Oczywiście! Znalazłem. A teraz mogę sobie ciebie zatrzymać?

- Możesz. - Pocałowała go. - Jasne, że możesz. Objęli się ciasno i przeżywali chwilę takiej bliskości, jak nigdy dotąd, choć bywało im już przecież ze sobą bardzo dobrze.

- Wiesz - powiedział Jacob - brat chce, żebym był jego współnikiem. Będę mógł porzucić fach wędrownego tropiciela. Filię przedsiębiorstwa założymy gdziekolwiek, co ty na to, Clair? Będę budował domy, a pierwszy zbuduję dla ciebie i dla naszych dzieci.

Westchnęła, napawając się szczęściem, które przyszło nagle nie wiadomo skąd.

- Powiedziałeś: gdziekolwiek... - Przymrużyła oczy. - No to może w Wolf River? Ja bym się chciała tutaj osiedlić. Czuję, że należę do tego miejsca.

- Świetnie! - Chwycił ją w pól i obrócił wokół siebie. - Niech będzie Wolf River.

- A na razie, to znaczy jutro - Clair poprawiła włosy - lecę do Charleston, żeby porozmawiać z rodzicami. Może polecisz ze mną?

- Też zgoda! - Obrócił ją drugi raz. - Chociaż, wiesz co... - zastanowił się.

- No, co?

- Dlaczego mamy lecieć... - Ujął jej rękę i ucałował dłoń od środka. Z uśmiechem czekał, czy Clair zgadnie...

Zgadła. Uśmiechnęła się, czytając w jego oczach. I po chwili oboje wypowiedzieli te same słowa:

- Możemy tam przecież pojechać!